

GUSTAW DANIŁOWSKI

P O C I Ą G



WYDAWNICTWO „BIBLIOTEKI GROSZOWEJ” S-ki z o. odp
Warszawa, ul. Moniuszki Nr. 11

D 73/58
1984
Wydano z dubletów
Dbl. Publ. m. st. W-wy



177503

BIBLIOTEKA GROSZOWA
WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR H. ZAJĄCZKOWSKI
WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA
S. z. o. o.

Warszawa, ul. Moniuszki 11, Konto P. K. O. 11.140.

WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami dla młodzieży przy
każdej książce, przesyłką pocztową:
kwartalnie (za 13 książek) Zł. 9 gr. 95,
miesięcznie „ 3 „ 35,
a w oporach „ 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej.

Nowoprzybywający kwartalni prenumeratorzy
otrzymują bezpłatnie wszystkie rozpoczęte do-
datki dla młodzieży.

Znak 95 groszowego Wydawnictwa prawnie zareje-
strowany i naśladownictwa będą sądownie ścigane.

D-333/86

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 59a.

POCIĄG

Miasto Ryszew rosło z przerażającą szybkością. Młodzież z pewnem niedowierzaniem słuchała, gdy starzy twierdzili, iż pamiętają doskonale, jak na tem samem miejscu świeciły słomą kryte chaty; wśród nich dymiło zaledwie parę fabrycznych kominów, a na palcach można było policzyć blaszane dachy domów, wyzierających z pomiędzy strzech, jak rzadki kwiat kianianki z żółtych łąnów lnu.

Dziś kianianka pochłonęła len doszczętu.

Olbrzymie budowle rozparły się na wysokim brzegu, a niskie domki i chaty znikły lub przeniosły się nadół — hen! za rzekę. Na tem samem urwisku, gdzie rósł niegdyś las, wzniesiono, kosztem milionów, pyszny dworzec kolejowy, który był dumą Ryszewu.

Zamiast drzew, wyrosły alabastrowe kolumny, na których legło kryształowe sklepienie, pokryte obficie freskami i złotem.

Pod marmurowe arkady wpadał co parę godzin zdyszany pociąg. Tu zatrzymywał się, tu też się

kończył tor kolejowy — prawie na skraju urwiska — tak, iż przyjezdnym dość było przejść parę kroków, by znaleźć się obok zawiadowcy, który właśnie stał, oparty o balustradę, i patrzył w przestrzeń. Widok był rzeczywiście piękny.

Marmurowe płyty terasy, piętrzącej się nad wodą, różowiły się od słonecznych blasków. O dwieście stóp poniżej balustrady płynęła szeroką wstęgą rzeka, mieniając się całą kaskadą barw — od brudnego złota do krwawej purpury. Tuż obok sterczały wyniosłe gmachy Ryszwilu, na którym wily się dymy i dymy — bez końca. Na przeciwległym płaskim brzegu czerniały skupione niskie domki, dalej majaczył las, a nad nim konało ogromne słońce. Zawiadowca częścią patrzył wdal, częścią myślał o rozmaitych rzeczach, a także i o tem, że most, że przedłużenie toru nietylko psułoby widok, ale jest zgoła niepotrzebne, gdyż ludność dolnego wybrzeża i tak na czas do roboty zdąża. Po chwili spojrzał na zegarek, gdyż oczekiwał jeszcze jednego pociągu. Był to pociąg *extra*, którym dzieci pierwszorzędnego pensjonatu wyjechały przed świtem na majówkę o kilka stacyj za miasto.

...Słońce zachodzi... powinien wkrótce być — pomyślał; poczem zaczął iść po mozaikowym chodniku w kierunku swego biura. Wpół drogi spostrzegł telegrafistę, który bez czapki biegł prosto ku niemu, niosąc w ręku papier.

— Skąd to?

— Z trzeciej stacji przed Ryszwilem — wyjąkał zdyszany telegrafista, niezwykle pomieszany i blady.

Zawiadowca jął czytać, nie mogąc zrazu zrozumieć o co chodzi.

Telegram brzmiał w następujący sposób:

„Zawiadowcy — Ryszwil. Pociąg z dziećmi nie zatrzymał się na stacji. Minał ją, pomimo sygnałów z naszej strony. Powód dotychczas niewiadomy. Co się stało — damy znać.“

— Dawno otrzymany?

— Przed kwadransem.

— Jakies bałamuctwo — szepnął zawiadowca; poczem, silnie zaniepokojony, szedł szybko ku stacji.

— No, cóż tam dalej? — spytał, wchodząc do biura.

— Właśnie odbieram — odparł jeden z urzędników i schylając się nad wąskim paskiem papieru, sylabizował powoli:

„Zawiadowcy — Ryszwil. Na piątej wiorście przed trzecią stacją znaleziono maszynistę i palacza — obaj bez życia, spleceni w jeden kłębek. Wszelkie pozory bójki. Konduktor wyskoczył. Żadnych zgoła wyjaśnień dać nie może. Zdruzgotane ma nogi, mdleje co chwila. Pociąg pędzi sam. Druga stacja zawiadomiona“ — skończył zdławionym głosem.

Nastąpiła chwila długiego milczenia.

— Co to będzie? — szepnął ktoś wkońcu.

— Co to będzie?!—powtórzyli, jak echo, wszyscy.

— Nic!—wybuchnął oprzytomniały zawiadowca. — Linja wolna, kocioł w lokomotywie tęgi — nie pięknie. Panowie, ruszajcie do swoich zajęć. Ani słowa nikomu! Nie niepokoić publiczności. Ja idę po naczelnika. Telegrafuj pan tymczasem na drugą i pierwszą stację o dalszą wieści — zwrócił się do jednego z telegrafistów.

— Zaraz — odrzekł tenże i pochylił się nad aparatem.

Tymczasem przed stacją wszczął się hałas i ruch. Cały kwiat Ryszwilu dążył na spotkanie swych dzieci.

Na olbrzymi asfaltowy podwórzec wtaczały się co chwila lśniące zaprzęgi najrozmaitszego rodzaju i gatunku: jechały obszerne landa, ciągnięte przez poważne perszerony, mknęły wysokie amerykany, zaprzężone w rosłe folbluty, zajechały breki, biedki jednokonne, dalej dreptały krótko ostrzyżone muce, wesoło pobrzękując w dzwonki i ciągnąc za sobą niskie, dziwaczne-go kształtu, koszyki.

Klaskanie biczu, krzyki furmanów mieszały się z turkotem kół i parszaniem koni.

Elegancko ubrani panowie wyskakiwali pierwsi przed gankiem i wysadzali z pojazdów strojne kobiety.

Na pustym przed chwilą peronie zrobiło się wkrótce ciasno. Mozaikowa jego posadzka, zdawało się, naraz zmieniła się w majaczną, ru-

chomą łąkę, pełną pstrych kwiatów. Z obłoków śnieżnej białości muslinów wykwitły obficie różnokolorowe róże, chabry niebieskie, żółte nieśmiertelniki, kwiaty ciemne — w paski i kropki, kwiaty o barwach mieszanych, jak bratki. Nie brakło też drogich klejnotów — od łzawych pereł, migotliwych diamentów do purpurowych korali i krwawych rubinów.

Z jaskrawych tych kielichów wychylały się pyszne biusty, nagie ramiona, ślicznie zarysowane szyje, kształty głowy, otoczone falami najrozmaitszych odcieni włosów, z pod których błyszczały dumne czoła i nie słabiej od brylantów iskrzące się oczy. Nad wszystkim unosiły się zmieszane zapachy pachnideł, a zgóry lał się potok elektrycznego światła, które podnosiło świetność tualet, potęgując zarazem białą matowość tych różnorodnych twarzy, o rysach delikatnych, przeważnie pięknych, zrzadka bezmyślnych, albo też — szczególnie u mężczyzn — zawiedłych i dziwnie zmęczonych.

Podczas gdy różnobarwny tłum rozmawiał, śmiał się, wymieniał ukłony i uściski — w biurze telegraficznem stukały niezmordowanie aparaty, a z nich wysuwały się wąskie paski papieru, pełne złych wieści, które siały wśród urzędników niepokój i trwogę. Niecierpliwe spojrzenia zwracały się raz wraz na wielkie drzwi zamknięte, oczekując wyższej władzy, a z nią jakiegoś rozkazu.

— Nakoniec! — rozległo się kilka szeptów.

Drzwi się rozwarły, ukazał się w nich upragniony naczelnik ruchu, a za nim zawiadowca.

— No, cóż tam?! — rzekł sucho pierwszy.

— Żle, panie — odparł jeden z urzędników, wręczając mu papier.

— Nie pytam: jak? — burknął naczelnik i czytał półgłosem: — „Pociąg minął i naszą, drugą stację w całym pędzie. Z pasażerów nie dostrześliśmy nikogo; prawdopodobnie nie wiedzą o niczem. Lokomotywa, zdaje się, w porządku. Cała linja zawiadomiona. Czekamy wieści od was.“

— Czego oni się śmieją! — syknął przez zęby naczelnik, zwracając się niecierpliwie w stronę peronu, skąd dolatywało przytłumione echo jakiegoś śmiechu.

Poczem, usiadłszy, oparł głowę na dłoniach i siedział chwilę w milczeniu. Cały personel wpatrywał się w chmurną twarz jego, jak w tęczę, czekając co powie.

— Papieru! — zabrzmiała krótka komenda.

Cały stos kartek znalazł się w tej chwili przed nim.

Wziął z nich jedną — zamyślił się, a później pisał szybko.

„Zawiadowcy pierwszej stacji. Zwróćcie pilną uwagę na lokomotywę pociągu i dajcie znać, sędząc z dymu i pary, jak daleko zajść może? Z jaką mniej więcej pędzi szybkością i czy nie zwalnia biegu?“

— Telegrafuj pan natychmiast — zwrócił się do jednego z urzędników.

Urzędnik pochwycił skwapliwie kartkę, a reszta jęła się przysłuchiwać pilnie taktowi naczelnika klawisza, by w ten sposób treść depeszy pochwycić.

— Czy masz pan jaki plan działania? — zwrócił się do naczelnika zawiadowca.

— A pan? — odparł rozdrażnionym tonem.

— Ja? Nie! — brzmiała odpowiedź.

— A więc czekajmy cierpliwie — szepnął i jednocześnie jął szarpać nerwowo zwichrzoną brodę.

Nastąpiła długa chwila męczącej ciszy — tak, iż można było słyszeć dokładnie turkot wciąż jeszcze nadjeżdżających powozów i porwane zdania i wykrzykniki snującego się po peronie tłumu.

Nagle warknął dzwonek.

Wszyscy porwali się ze swych miejsc.

Naczelnik pobiegł do aparatu, pochylił się nad usuwającym się skrawkiem papieru, a za nim cały personel.

— „Minął naszą stacją — sylabizował naczelnik. — W oknach wagonów nie dostrześliśmy nikogo. Śpią, widać, wszyscy, nie podejrzewają niebezpieczeństwa. Pary i paliwa w lokomotywie, niestety, jest dużo. Ostatnią wiorstę przebiegła w przeciągu niespełna minuty i pęd pociągu się nie zmniejsza.“

— Co myślicie robić? — skończył złamanym głosem.

Wszyscy spojrzeli po sobie i zastygli, jak stali, a blade ich twarze w błękitnem oświetleniu lamp elektrycznych wyglądały, jak gipsowe maski.

— Co robić? Radźcież! — odezwał się wkońcu zmienionym głosem naczelnik.

— Puścić naprzeciw drugi pociąg — szepnął ktoś nieśmiało.

— Któż go poprowadzi? — odparł głos z kąta.

— Usypać nasyp — wtrącił ktoś zboku.

— Może most przerzucić przez rzekę?! — odparł drwiąco zawiadowca — to również praktyczna rada!

Zrobiło się znowu cicho. Twarze przybrały wyraz bezradnego przygnębienia, a oczy błagalnie zwróciły się w stronę naczelnika.

Ten milczał; miał twarz popielatą i wykrzywione usta. Wkońcu przeciągnął parę razy dłoń po czole i jęknął tonem, pełnym rezygnacji.

— Żadnej tu rady niema! Chodźcie, panowie... Trzeba powiedzieć im wszystko...

Co rzekłszy, zabrał drżącymi palcami depeszę i szedł zgarbiony, ciężkim krokiem, a za nim wlokło się całe biuro długim szeregiem.

To nagłe zjawienie się tych smutnych postaci wywołało na peronie ogólne wzruszenie.

— Co się stało? — Cóż to za kondukt żałobny? — posypały się liczne uwagi.

A oni przeciskali się przez tłum w milczeniu, ze spuszczonej głowami — powoli, jakby odwołując stanowczą chwilę ujawnienia swej tajemnicy.

Wkońcu balustrada wstrzymała ten pochód. Naczelnik, poczuwszy, że dalej iść nie można, odwrócił się, spojrzał w rozciekawione twarze

stojącego tłumu, pobladł jeszcze bardziej i zaczął mówić wzruszonym głosem:

— Szanowni Ryszwilanie! — Otrzymaliśmy telegraficzne wieści, które czuję się w obowiązku zakomunikować wszystkim...

— Coś złego!... — wtrącił ktoś zboku.

— Jakiś krach pewno! — odezwały się liczne głosy.

— Cicho! — komenderował ktoś inny.

— Tak, cicho! — posypały się rozkazy.

Umilkli wszyscy, a on jął czytać te krótkie, jak strzały, urywane zdania, które ołowiem padały na serca słuchaczy, coraz cięższe, coraz wyraźniejsze i pełniejsze grozy.

— „I pęd pociągu się nie zmniejsza...” — skończył wreszcie. Podniósł wzrok i mógł myśleć, że stoi przed gromadą trupów, przebranych w jaskrawe całuny: tak sinoblade były wszystkie twarze, białe wargi, a oczy zmętniały, jak szkło matowe. Ostatnie szeregi nie widziały jeszcze o co chodzi; czuły jednak, że zaszło coś niezwykłego i strasznego przytem.

— Co się stało?... Mówcież!... — zerwała się zawierucha nerwowych pytań i w miarę odpowiedzi, cichła, aż zmieniła się w śmiertelną ciszę i osłupienie.

Wkońcu odrętwiały tłum oprzytomniał na chwilę. Wszystkie oczy wpały się w bladą twarz naczelnika, żądając od niego jakichś wyjaśnień, pociechy, ratunku.

On zaś, poczuwszy na sobie zrenice tłumu, odwrócił się i spojrzał machinalnie w rzekę.

Tysiąc oczu poleciało wślad za jego spojrzeniem — i blady strach rzucił się wszystkim na piersi. Ta wijąca się u stóp urwiska wstęga była aż nadto wyraźną odpowiedzią. Patrzyli więc w milczeniu w rzekę, z szeroko rozwartymi oczyma, okryci zimnym potem, nie mogąc wzroku oderwać od lśniącej fali, która, mruczając złowrogo, biła spienioną piersią o płyty marmurowej terasy.

Po chwili zastygłe serca jęły się tłuc szalonym rytmem, jak ptaki w klatce, a później zerwało się kilka łkań krótkich, które zamieniły się w ogólny cichy jęk.

Ten pierwszy głos boleści niemego dotychczas tłumu zbudził z głębokiego zamyślenia stojącego nauboczu człowieka.

Człowiek ten nie tylko swą prostą, szarą odzieżą wyróżniał się wśród wykwintnego tłumu: twarz jego była również ciemniejsza — prawie brązowa, jakby ogorzała od słońca lub ściemniała od dymu; rysy miał także grubsze, mniej delikatne, ale zato pełne energii i woli! Wszystko to, wraz z wyniosłą, atletyczną postacią, nadawało mu wśród tych przerafinowanych twarzy odrębny, pociągający urok silnego, naturalnego piękna. Człowiek ten oddzielił się naraz od tłumu i pewnym krokiem zaczął oddalać się szybko od Ryszwilu, idąc wzdłuż szyn.

O dwa prawie kilometry od stacji wpoprzek

plantu wisiał przeznaczony dla pieszych most, pod którym przechodziły pociągi.

W tem miejscu człowiek zszedł z szyn, wdrapał się szybko na nasyp i stanął na moście.

Słońca już widać nie było, tylko białe obłoki różowiły się jeszcze po brzegach; na liljowem tle nieba odcinały się twardo ciemne sylwetki słupów telegraficznych i odległe drzewa. Przed nim zółciało płótno kolejowego toru i błyszczały dwie srebrne linie szyn.

Wkrótce ostatnie blaski zorzy wieczornej zagasły. Drzewa, słupy i szyny roztopiały się kolejno w pomroce. Nastąpiła ta krótka, martwa chwila, kiedy dzień już kona, a noc jeszcze nie wstaje.

Naokół było szaro i cicho bardzo.

Po chwili porwał się senny wiatr, rozniósł zapachy pól i łąk i zemdłał w dolinie. Lazurowe niebo przybrało kolor ciemnego błękitu i cicho weszła letnia noc ze światłami rzewnych gwiazd.

Człowiek zrzucił czapkę, rozpiął kurtkę na piersi i pił chciwie świeże, chłodne powietrze. Chwilami oglądał się i widział wtenczas błądzącą smugę elektrycznego światła za sobą; to znowu wpatrywał się badawczo w ciemną dal i nasłuchiwał pilnie.

— Zdaje się już? — szepnął wkońcu i nozdrza mu grać zaczęły.

Rzeczywiście — woddali zamigotały jakby dwie jakieś centki ogniste, które wzrastały powoli. Wkrótce można już było poznać, iż są to dwa

wielkie reflektory zbliżającego się pociągu. Wreszcie zamajaczył komin; zawisł obłok zmieszanego z iskrami dymu; z cieniów wynurzyła się ogromna lokomotywa i sapiąc, głucho toczyła się po szynach, jak potwór olbrzymi. W miarowym jej warku czuć było ślełą potęgę nieskrępowanego żywiołu i bezlitosną obojętność bezdusznej maszyny. Za nią toczyły się niewolniczo-posłuszne wagony. W pierwszym mieścił się personel uczący. Panowała w nim martwa cisza, przerywana szelestem oddechów nauczycielek i nauczycieli, którzy pokładli się byli na ławkach w śnie ciężkim, bez marzeń i sennych widziadeł.

Na zwiędłych ich twarzach malowała się obojętność umarłych i wyczerpanie znużonych. W bładem świetle tlejącej latarni czynili wrażenie zapylonych posągów, które wiatr jakiś porzucał z piedestałów i pokładał pokotem.

Pomimo zaduchu, niektórzy pokrywali oblicza, jakby się czegoś wstydzieli lub lękali światła. Ci nie wiedzieli na pewno: dokąd jadą i co ich czeka u kresu podróży?

A zresztą, śmierć dla nich była tylko—niezbudzeniem się.

W dalszych wagonach, porozmieszczane według starszeństwa, jechały dzieci—chłopcy i dziewczęta—rozmaitego wieku i wzrostu.

Starsze przeważnie spały, zmęczone długą mąjówką i świętem, ale nie tak spokojnie, jak ich

przewodnicy. Oddechy były szybsze i mniej regularne.

Niektóre chwyciły się rękoma za poręcze ławek, jakby się chciały gwałtem ze snu podźwignąć; lecz po chwili opadały ich wzięte dłonie, a z piersi wydzierano się westchnienie skargi, że tak są słabe.

Na twarzach innych leżało piętno niewypowiedzianej jakiejś tęsknoty. Oczy niektórych były wpółotwarte, a tkwił w nich wyraz niezwykłego przerażenia i niemego smutku. Z pod niejednych powiek sączyły się wielkie łzy. Na piersiach wielu leżała snadź męcząca zmora, bo się rzucały niespokojnie, chwytając zbieletemi wargami powietrze.

Inne znów miały, widać, sny cudowne i rozkoszne widzenia, bo wyciągały marzącym ruchem swe szczupłe ręce, a na spragnionych ustach zjawiał się uśmiech, w którym było więcej melancholji, niżeli radości. Wszystkich łączyły jakieś smutne przeczucia i nieświadomy niepokój, który, zdawało się, krążył w pomroce nad tą drzemającą gromadą.

Młodsze z tego powodu usnąć nie mogły, lecz zbliżając się w pary lub małe grupki, gwarzyły cicho. Jakiś chłopczyk, siedzący na ziemi, z głową, opartą na kolanach dziewczyny, prosił ją bezustanku:

— Daj mi spokoju! — usta mu drżały od tłumionego płaczu...

Ona mu wreszcie położyła swe małe dłonie na czole, pytając:

— Tak dobrze?

— Dobrze mi — odparł z twarzą, pełną zachwytu.

— Dlaczego? — spytała, schylając się nad nim.

— Bo nic nie myślę! — wyszeptał, objął ją za szyję i zamknął oczy.

W drugim znów kącie, pod oknem, chłopiec blady, o niezwykle delikatnym i smutnym profilu, pokazując innym lejące tłumnie iskry, mówił:

— Skrzą się, by zgasnąć...

— A co z nich zostanie? — szepnął ktoś z boku.

— Dym — odparł i chwycił go zimny dreszcz.

I znów siedział w milczeniu, a tak był szczupły i w twarzy miał tyle cierpienia, że jedna z dziewcząt, myśląc, iż głodny, dała mu ciastko.

— Jeść nie chcę, ale mam straszny głód i pustkę tu! — wskazał na piersi.

W końcu wagonu jakaś nieliczna gromadka starała się otworzyć szczelnie zamknięte drzwi.

Perlisty pot wystąpił im na skronie, a w oczach malował się olbrzymi wysiłek. Kiedy zaś jeden z nich, pośliznąwszy się, upadł, reszta obsiadła go wokoło i z narzekaniem: — „Jacyśmy słabi!” — zaczęła płakać cichutko.

Tymczasem świece w latarniach dogasały, a w miarę ciemności wzrastał się płacz i tajemny niepokój.

Strwożone dzieci, tuląc się do siebie, szlochały coraz żałośniej.

Niezmordowane dudnienie kół głużyło łkanie, a nieubłagana lokomotywa, nakrywszy pióropuszem dymu cały pociąg, leciała wciąż naprzód, wlokąc te senne i płaczące wagony na zgubę, śmierć i zatrącenie...

W miarę zbliżania się pociągu coraz większa burza zmienionych uczuć zrywała się w piersi oczekującego nań człowieka.

Myśli, szybkie, jak piorun, zapalały mu się w mózgu.

— To wszystko pędzi — szeptał — bez steru, na zagładę Ryszwilu.

Rozumiał, iż żadna martwa tania nie zdoła wstrzymać szalonego biegu rozpędzonej maszyny; że dość jednak świadomej sile wtargnąć do środka, by ślepych bogów pokonać.

Zapalał się do tej walki, a w miarę zapалу rosły w nim siły; zdawało mu się, że głowa sięga chmur, a gwiazdy mu wiszą nad czołem. Właśnie czerwony księżyc wytoczył się z za lasu, rozwidniając mrok nocy. W fantastycznym jego świetle stojący na moście samotny człowiek czynił wrażenie upióra-ducha: tak bladą miał twarz, a w oczach — błyskawice. W całej jego pochylonej naprzód postawie, w szybkim falowaniu piersi, we wzroku, zacięcie wlepionym w reflektory zbliżającego się pociągu — znać było, iż są to dwie wrogie



potęgi, które za chwilę zmagać się będą na śmierć i życie.

W parę sekund lokomotywa była zaledwie o parę sążni od mostu.

Olbrzymie jej latarnie zalały czerwoną łuną drewniane jego więzadła; po twarzy zaś stojącego na nim człowieka przeleciał płomień jeszcze jaskrawszy.

Szybko zbliżył się ku przeciwległej krawędzi i skurczył się w sobie, jakby gotując się do szalonego skoku.

W tej chwili komin buchnął nowym kłębem dymu i spowił nim wszystko...

Tymczasem Ryszwil przeżywał ciężkie chwile, męczące, jak noc bezsenna.

Złowróźbne wieści z błyskawiczną szybkością rozlatywały się po mieście, roznosząc jęk, płacz, trwogę i rozpacz...

W całym Ryszwilu nie było tego wieczora duszy spokojnej, bo każdy miał w pociągu część krwi, kości i serca własnego w postaci swego potomstwa. To też, pomimo tego, iż noc zapadła już głęboka, nikt jeszcze w mieście nie spał.

Ci, co się nie pomieścili na dworcu i w podwórzu, wylegli na balkony, które stały się podobnymi do kęp, pełnych kwiatów—tylko, że twarze tych kwiatów były dziś niemniej znużone i bolesne od dźwigających balkony karjatyd. To męczące oczekiwanie groźnej katastrofy, ta niepewność—co będzie właściwie, a jednocześnie poczu-

cie, że zajdzie coś strasznego, doprowadzały chwilami tłum do szału.

— Niech się raz to stanie—byle prędszej...

Myśl taka drżała wtenczas we wszystkich mózgach, choć nikt jej nie śmiał głośno powtórzyć, bo mimo to, iż z matematyczną niemal pewnością można było przewidzieć, że alabastrowa balustrada nie wstrzyma pociągu, że musi runąć on w przepaść i zatonać w rzece—przez rozpacz, przez niepokój i trwogę przeciskała się chwilami otucha i na niczem nie oparta nadzieja. Ryszwilanom nie mogło pomieścić się w głowie, by ta sama siła, która dostawiała im zboże z pól odległych, kryształy z gór, korale i perły—z mórz, miała się naraz przeciw nim zwrócić i jednym zamachem zniweczyć w proch całe ich pokolenie. A kiedy odebrane wieści, widok, kończącego się na skraju urwiska, toru, ryk fal, plujących pianą na białe marmury—rozproszyły już wszelką wątpliwość, oni jeszcze chwyтали się najdziwniejszych środków, by widmo klęski odegnać.

Sprowadzono więc na peron wszystkich dygnitarzy miasta, straż ogniową, rozstawiono wzdłuż toru żołnierzy.

Kobiety, z rozwiązanym włosiem i obłąkanemi oczyma, zdzierały z rąk i szyi klejnoty i rzuciły w rzekę, jakby ją chciały przebłagać, zasypać lub wstydziły się, że są tak strojnie ubrane na dzień śmierci swych dzieci.

Chwilami zrywał się zmieszany gwar pytań:

— Dlaczego pogłębiono rzekę?!...

— Dlaczego niema mostu na przeciwny brzeg niski?...

Po takim paroksyzmie szału wyczerpany tłum uspokajał się na chwilę, a były to momenty wprost tragiczne.

Na peronie panowała martwa cisza. Na policzkach jednych gorzały ceglaste rumieńce, a dolne szczęki latały im, jak w febrze; inne znów twarze były blade, jak płótno, a z nieruchomych źrenic toczyły się łzy, wielkie i ciche.

Elektryczne lampy zlewały na te pomęczone głowy błękitnawe potoki światła; kryształowe sklepienie skrzyło się świetnością złocen i fresków, a wśród urywanych łkań rozlegały się rozkołysane jęki dzwonów, bijących na trwogę.

Właśnie w jednej z tych chwil, ciężkich, jak konanie, jakiś starzec, co miał prawnuków w pociągu, ukląkł i na trzęsącej się głowie jał kłaść znaki krzyża.

W tej samej chwili ktoś krzyknął rozdzierającym głosem:

— Idziel!... — i runął na kolana.

Idziel!...

Okropny krzyk wydarł się z tysiąca piersi i płacz olbrzymi przeleciał nad tłumem i podciął wszystkim nogi.

— Ojcie nasz, któryś jest w Niebiesiech...—jęczał trzęsący się starzec.

— Ojcie nasz, któryś jest w Niebiesiech...—po-

wtórzyły wśród łkań wszystkie usta i załzawione oczy wzniosły się w górę... Ale ujrzeni, miast nieba, malowidła i złoto na sklepionym kryształ. Stropił się starzec; ręce mu się zaczęły trząść jeszcze silniej i szlochając, jak dziecko, ponowił słowa modlitwy.

— Święć się Imię Twoje...—powtórzył tłum za nim.

— Przyjdź Królestwo Twoje... — rzekł ciszej. — Bądź wola Twoja, jako w niebie...—wyszeptał i umilkł nagle, bo czuł, że nigdy dotąd nie pragnął ani Imienia, ani Królestwa, ani Woli Bożej na ziemi, a bluźnić nie śmiał, gdyż woddali migotały coraz wyraźniej złowrogie oczy zbliżającego się pociągu.

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...—zaczął starzec i... i chwycił się nagle za skronie:—Przebacz to kłamstwo!—jęknął i zwałił się na kamienną posadzkę.

Tłum ryczał, obłąkany rozpaczą, że się nawet modlić nie może.

Pociąg tymczasem wtaczał się pod arkady.

Nowa, okropna burza wydartego gdzieś z głębin wnętrza jęku powaliła tłum na twarz, tak, iż z pozoru wyglądał, jak łan, skoszony jednym zamachem. Stało się wprost straszno... tylko dzwony w Ryszwilu szalały i glucho warczała wściekła lokomotywa, ścieląc dym na ciała powalonych.

Naraz gwizd przeraźliwy rozdarł powietrze.

Wszystkie dzwony Ryszwilu zamarły nagle.

Zahamowany silną dłonią pociąg stanął, jak wryty.

A gdy opadły dymy, przed lokomotywą, w krwawej łunie reflektorów, ukazał się człowiek.

Szarą bluzę miał rozpiętą na piersiach, nabrzmiałe żyły—na skroniach, a w twarzy—płomienie; w ręku trzymał jeszcze pokruszone szczątki alabastrów balustrady, która gruzami swemi utworzyła przejście przez rzekę na przeciwny brzeg niski.

Tam zapalały się jakieś złote świty na niebie, a z ciszy leciał głos dzwonka, jak śpiew skowronka doniosły, wołając wszystkim:

— Wstawajcie!

WIGILJA

Pani Andrzejowa — chociaż wczoraj do późna wykończyła suknię dla hrabianki i zaledwie o pierwszej dowlokła się do domu, a w nocy długo zasnąć nie mogła — czuje się dzisiaj wybornie. Jest tak rześka, jak nigdy.

Gdyby nie siwiejące włosy, siatka zmarszczek na twarzy i wygasłe, jakby spłowiałe, te, niegdyś tak czarne i ogniste, oczy, sądząc z jej żywych ruchów, możnaby mniemać, iż ta wysoka postać, uwijająca się w fartuchu po ciasnej kuchence, należy do innej jakiejś młodej osoby, a nie do czterdziestoletniej wdowy po Andrzeju, techniku budowniczym, który spadł z rusztowania i głowę o bruk roztrzaskał.

Było to dawno, a chociaż dawno, dziś jeszcze bez wzruszenia szwaczka (tak tytułuje się na liście lokatorów „Halina Tokarska wdowa“) opowiadać tego nie może. Dawniej lękała się poprostu samego wspomnienia: za każdym razem przesuwali się przed nią okrwawione nosze, powala-

na wapnem i gliną biała twarz i sinożółte ręce nieboszczyka, wywołując bolesny dreszcz i brak tchu.

Obecnie obraz ten stracił na sile i barwności; towarzyszy mu zaledwie westchnienie i mgła łez w oczach. Nic dziwnego! Złamana kość zrasta się, stając się trwalszą, niż wprzód; rozbite serce również się zczasem zabliźnia, zyskując z każdą nową rysą na wytrzymałości i harcie: tem właśnie tłumaczy się to, czemu tak rzadko pęka. A pani Tokarska nagromadziła w swem sercu owych rys niemało. Po tragicznym zgonie męża nie miała prawie czasu na dłuższą boleść, bo się wnet posypały liczne nowe troski, które, wprawdzie powoli, lecz stale, przejmowały jej duszę do głębi, podobne do deszczu drobnego, co odzież najgrubszą przenika. Jej Michaś, który cudem niemal dostał się do szkoły realnej, wkrótce po pogrzebie ojca ciężko zachorował; doktorzy, lekarstwa, wpis: wszystkie te wydatki były przecież tak nieodzowne, a na zaspokojenie ich pani Halina miała — naparstek, trochę nici i igłę.

Nic też dziwnego, że w lat kilka młoda wdowa zmieniła się do niepoznania: zmizerniała, pożółkła, schudła; czarne jej oczy wypełzły od ślepienia po nocach i od płaczu; łyzy zmyły rumieniec, a włos jął się prosić siwizną.

Bóg był miłosierny, a zwłaszcza Matka Boska, do której pani Andrzejowa szczególne miała zaufanie i lampkę co sobota przed Jej obrazem pa-

liła. Michaś wyzdrowiał i rósł tak szybko wzdłuż i wszerz, że stąd się nowe wywiązały kłopoty: ani rusz było ubrania nastarczyć; stan bluzy był wiecznie na plecach, a najdłuższe, na wyrost zrobione, z wielkimi zakładami spodnie po wszelkich możliwych kombinacjach matki, znającej się przecież na krawieczyźnie, niespełna w pół roku sięgały Michasiowi do kostek.

Wtedy trzeba było znowu wydostać kilka rubli, co przy szczupłych dochodach, zdobywanych szyciem po domach prywatnych, było dotkliwym wydatkiem.

Wprawdzie wdowa, po długim, prowadzonym przez pokątnego doradcę, procesie, dostała kilkaset rubli odszkodowania za męża, ale nie chciała ich ruszać: miała jakiś nieprzewyciężony wstręt do tych pieniędzy; zdawało jej się, że pachną krwią.

— Niech leżą — mawiała — w kasie. Jak Michaś dorośnie, zrobi z niemi, co zechce; ja tego... tego... — tu usta jej drżały i ścisnęło się gardło — nie dotknę!

Fraszka jednak były dla pani Andrzejowej nadmiar pracy i kłopoty, których jej szybki rozwój Michasia dostarczał, w porównaniu z tem uczuciem radości i dumy, z jakim rozpromieniona chodziła w niedzielę na spacer, prowadzona przez syna, co w trzeciej klasie był wzrostem jej równy, a w czwartej — już przerastał ją o pół głowy.

— Chłopak, jak bawół, udał nam się! — mawiał o swym chrześniaku ślusarz Maciej, na co gruby mydlarz Piotr, któremu syna wypędzono z drugiej klasy, krzywił się niechętnie, mrucząc:

— Uczony — farmazon.

Kiedy zaś „farmazon“ wyciął raz drwiącego zeń czeladnika rzeźnickiego tak silnie w pysk, że się ten nogami nakrył, odrazu przyciągnął na swoją stronę wszystkich najbardziej nieprzejednanych wrogów jego nauki, nie wyłączając i samego pokrzywdzonego.

— Mocny we łbie i w pięści! — tak odzywano się powszechnie o staromiejskim bohaterze, a w piersiach słyszającej to matki radość zalewała porysowane serce i rany dawne goiła. Jasna ta jednak epoka w życiu pani Haliny nie trwała zbyt długo. W piątej klasie Michaś już zarabiał na siebie lekcjami, przez co znaczną ulgę matce przynosił; lecz jednocześnie zaczęło się stawać coś, czego pani Andrzejowa pojąć z początku nie mogła, a co ją bolało niezmiernie.

Jakiś, zrazu nieznacznym, a potem coraz widoczniejszy, przedział tworzył się, niewiadomo skąd, pomiędzy nią a synem, rosnąc z dniem każdym. Michaś nie tylko coraz rzadziej i obojętniej rozmawiał z matką, ale czasem wyraźnie jej unikał. Chodził niewiadomo dokąd, późno wracał, znosił jakieś książeczki, które w dzień chował w piecyku przyległej kuchni, a czytał po nocach; stał się poważnym, milczącym, gdy się zaś odezwał, to

drwił nieraz z takich rzeczy, które w ich kamienicy uważano za nietykalne — bluźnił poprostu, wyrażając się dość lekko o Bogu: kościół, na przykład, nazywał *Olimpem*, papieża — *pontifixem*. Tymczasem pani Andrzejowa — jakkolwiek pochodziła z rodziny dość inteligentnej, choć mocno podupadłej materialnie, i otrzymała jakieś takie wykształcenie (dzięki czemu nawet rodzina jej męża przyjęła ją z początku niechętnie, jako niepożądanego intruza, który im swoją wyższością myśli imponować, wzamian za co znowu jej rodzina własna wytykała jej mezaljansy) — w walce o chleb zapomniała o wszystkim, tem bardziej o tem, co to jest *Olimp*, co *pontifix*, a czuła tylko, że jej smutno ogromnie i straszno przytem, bo jest coś, co ją z serca syna wydziera, staje pomiędzy nią i nim i obojgu grozi, a czego ona zrozumieć, poznać nie może i nie wie z czem walczyć. Od czegoż jednak pani Andrzejowa była kobietą, która, gdy kocha, ma więcej rozumu w sercu, niż mędrzec w głowie?

Póty więc męczyła się w noc bezsenne, chodziła do wzgardzonego przez syna *Olimpu* i łkała u stóp ołtarzy, aż poprostu odgadła, że między nią a nim tworzy się przepaść pojęć, wierzeń i myśli, którą musi przeskoczyć — lub zginie.

To odkrycie powodu oziębłości Michała przyniosło jej chwilową ulgę, bo przestała się gubić w męczącym chaosie domysłów i przypuszczeń, a nadto jeszcze przekonała się o tem, o czem już

wątpiła chwilami i co ją napawało ogromną gorczyzą: że Michaś ma serce, że jest tylko jakaś przyczyna, dla której się od niej odwraca, przyczyna teraz jej znana, którą trzeba usunąć... — jak?... tego jeszcze nie wie, ale musi, musi koniecznie, a skoro musi, to spełni, tak samo, jak dokonała z jedną igłą w ręku tego wszystkiego, dzięki czemu Michaś nosi mundur i ma przyszłość otwartą. Rzuciła się więc z całą energią niezmordowanej swej duszy na ratunek ostatniego najdroższego uczucia, którem żyło jej serce.

W długie wieczory, spędzane najczęściej samotnie, wydobywała książki syna z pieca i wertowała zawzięcie, chcąc naprzód poznać to źródło swej ciężkiej krzywdy. Okazało się jednak, że jest to proces nie tylko nużący, ale chwilami okropny. Z początku kręciła się jej zboląta głowa, siłąc się zrozumieć to, co przewyższało jej zaniebdany umysł, a gdy, koniec końców, zaczęła treść książek pojmować, jeszcze boleśniej kurczyła się jej dusza i ścisnęło serce: tak pełno było w tych kartkach jaskrawych zdań, godzących właśnie w to, w co przywykła wierzyć, co ją uczono czczyć i szanować. Doświadczała chwilami uczucia, że w tych czarnych linjach siedzi jakiś szatan, który ją chce opętać, wydrzeć jej najświętsze dogmaty i tradycje — i w ten sposób rozluźnioną duszę zdruzgotać. A najsilniej przerażało ją przeświadczenie, że jej syn pije z tego mętnego źródła.

— To musi być jakoś inaczej, inaczej — ja nie rozumiem nic, nic, nic — szeptała wtenczas znękana, odrzucając książkę, a pokrzepiały ją w tym mniemaniu pojedyncze, tchnące jakąś lepszą siłą, dla niej także idealne i szlachetne, ewangelicznej miłości pełne ustępy. Tylko ten ton, tak krzykliwy i drwiący tak nieraz boleśnie, a tak podobny do ostrych odzywań się jej syna — to ją doprowadzało co chwila do obłędu. Nie mogąc się zgodzić z lekturą Michasia, wdowa zapisała się do bezpłatnej biblioteki i co niedziela wyczekiwała tam swojej kolei. Zdobyte w ten sposób książki wywarły na nią dodatnie wrażenie; wogóle jej się podobały, niektóre ją zachwyciły; nie posiadała się z radości, gdy w jakiejś historii wyczytała, że *Olimp* — jest to mieszkanie bogów, a *pontifex* — kapłan najwyższy. Wobec tego wyjaśnienia słowa Michasia nabierały zgola innego znaczenia: nie było w nich nic tak dalece zdrożnego, prócz miny, z jaką to mówił... Ale cóż znaczy mina? — pocieszała się pani Andrzejowa — wszak sklepikarz zprzeciwka ma minę ostatniego wisielca, a trudno o uczciwszą wagę i lepszy produkt... Prawdopodobnie więc mina Michasia, a także ton jego książeczek są tylko odstrasającym pozorem, pod którym tkwi coś zupełnie innego — co mianowicie? tego jeszcze dotychczas zrozumieć nie może; ale kiedyś... kiedyś... byle tylko prędzej, bo oto słabnie, śmierć jej się często majaczy, a chce koniecznie przed pójściem do trumny choć raz serdecznie

1 otwarcie, jak dawniej, z nim pogadać... Trzeba się śpieszyć bardzo, bardzo — myślała wdowa, i z coraz większą gorączką rozpoczynała ten tragiczny wyścig, w którym syn miał fory olbrzymie: dobre przygotowanie, młody umysł, stosowne towarzystwo; matka zaś — brak uprzedniego wykształcenia, odosobnienie, samotność i dwadzieścia lat ciężkich nadwagi. Opuszczały ją też chwilami siły, gasły nadzieje: aż wkońcu raz, kiedy już nie modliła się, ale wprost mówiła z rozpaczą w głos do obrazu Marji Panny: — „Matko Najświętsza, wróć mi serce syna!” — wszedł niespodziewanie Michaś. Usłyszawszy te słowa, zmieszał się mocno i wyszedł z pokoju. Powrócił, jak zwykle, późnym wieczorem i choć zachowywał się napozór obojętnie, pani Andrzejowa przeczuwała, że nadchodzi chwila stanowcza, skutkiem czego to zamierało w niej serce, to znów tłukło się szalonym rytmem, zwłaszcza wtenczas, gdy spotykała zagadkowy, jakby badawczy wzrok syna, który wnet się jednak odwracał, udając, że jest czemś mocno zajęty. Niestety, wieczór minął w tem drażniącym oczekiwaniu bez żadnych następstw. Pani Andrzejowa widziała tylko, że syn jej nie mógł zasnąć, bo słyszała z za parawanu, jak się długo kręcił na łóżku, zapalał papierosy, czasem wzdychał, a nazajutrz wstał wcześniej, niż zwykle, milczący i chmurny, jak sfinks. Gdy zaś wrócił ze szkoły (był już w siódmej klasie), krążył dzień cały, jak jastrząb, koło matki, w której piersi zrywał

się dziwny jakiś strach i niepokój za każdym razem, gdy się syn ku niej przybliżał, zmieniając się w gorzki żal, gdy odchodził w przeciwny kąt pokoju, gdzie przypatrywał się z niezmierną uwagą obrazom, które znał oddawna, lub kręcił guzik munduru, jakby mu wiele zależało na tem, by go oderwać — a wszystkie te dziwaczne czynności spełniał z niezwykłym przejęciem i milczał przytem, jak zaklęty. Raz tylko, gdy spostrzegł nową książkę u matki, spytał: — „Skąd to?” — gdy się zaś dowiedział, że z czytelnicy, wystąpił mu na twarz wyraz zdziwienia, a potem jakby chmura smutku, wstydu lub winy.

Tymczasem, w miarę zapadania mroku, wraz z ciemnością ogarniało panią Halinę jakieś nieokreślone uczucie ucisku i ciężaru w piersi; do tego dołączył się tępy ból w okolicy serca, który się rozchodził po plecach i lewem ramieniu... Czegoś podobnego doświadczyła po raz pierwszy, gdy jej przyniesiono trupa męża; później to przeszło. Czasem tylko, w chwilach rozdrażnienia lub fizycznego zmęczenia, uczucie to, jakkolwiek przeLOTNE, słabsze w swych objawach i mniej bolesne, dokuczało jej nieraz; duszności zaś i bicia serca doświadczała dość często. Teraz jednak brak tchu był tak wielki, że choć siedziała koło otwartego okna, miała wrażenie, iż ją w worku zamknięto; Przechyliła więc za ramię głowę i chwyciła zbielałymi ustami chłodne powietrze, a jednocześnie wydało się jej, że tam, w ciemności, kołysze się nad

nią śmierć. Duszność jednak przeszła: poczuła znaczną ulgę, ale zarazem takie wyczerpanie, osłabienie i bezwładność, że choć na jotę przytomności nie straciła, w całej jej istocie nie było żadnej innej myśli, żadnego uczucia, prócz bólu istnienia. I w takiej właśnie chwili uczuła na ramieniu dłoń syna, w uchu—słowo: „Mamo!”—a na włosach—pocałunek. I znowu ją chwycił ogromny jakiś lęk; pierś się ścisnęła atak mocno, iż nadludzkim wysiłkiem zdołała wydobyć ledwie szept, cichszy, niż zapomniany grób:—„Michasiu!”—Drugi pocałunek syna wrócił jej przytomność i siły; spazmatycznie ścisnęła chłopca za szyję i rozplakała się serdecznie, a później, opanowawszy wzruszenie, jęła mu opowiadać wszystko: całą swą mękę, starania i zabiegi, czynione w celu odzyskania jego serca; wciąż mówiła, a głosem cichym i smutnym, lecz bez śladów boleści, jakby to wszystko było już tylko wspomnieniem dawno minionego nieszczęścia.

Michaś był niezawodnie chłopcem szlachetnych instynktów, miał duszę dość głęboką, trochę marzycielską, łatwo zapalną i skłoną do entuzjazmu. Wszystkie te cechy były przyczyną tej gorączki, z jaką przedwcześnie rozwinięty chłopak oddawał się zebraniom koleżeńskim i książce i chwycił nowe pojęcia i teorie, ulegając żywiołowej potrzebie zapelnienia tej próżni, jaką po stracie wierzeń domowych chwilowo odczuwał. Jakkolwiek były to chwile rzadkie, były jednak bardzo

ciężkie i energiczna jego, pełna sił żywotnych i woli, istota unikała ich starannie, czyniąc to raczej instynktowo, niż świadomie. Michaś bał się poprostu rozkładowych pierwiastków zwątpienia, zupełnie tak samo, jak lis trutki się boi, chociaż jeszcze jej skutków nie doświadczał—i nieraz, jedynie ze strachu przed niemi, rzucał się w wir małych czynów i wielkich dysput, bez względu na to, czym jest ten wir: nieprodukcyjną stratą czasu czy też kręceniem się ciąglem w kółko?—Nie więc dziwnego, że skoro odwlekał sztucznymi środkami coraz natarczywiej narzucającą się potrzebę wnikięcia we własną swą duszę, tem bardziej nie zastanawiał się nad stanem matki, nad swym do niej stosunkiem, zwłaszcza, że przywiązanie jego synowskie, jeżeli nie wygaśło zupełnie, to znacznie stępiało, przygłuchło—wpadł w stan nieczułego zdrętwienia. Było to naturalnym wynikiem dwóch naraz czynników.

Po pierwsze, uczuciowość jego wogóle osłabła; bo Michaś w tym okresie, zaniedbując uczucia, głównie pracował głową w kierunku urabiania świeżych przekonań, które, właśnie przez wzgląd na swą świeżość, nie zdążyły jeszcze wejść w krew i w zetknięciu się z sercem na dawnych popiołach płomienie nowych uczuć rozżarzyć. Były to tylko mniej lub więcej chłodne refleksje, martwe, jak wszelki chłód. Po drugie, był pewny, iż między nim a panią Haliną nie może być mowy o żadnej wspólności ideowej i z tego wzglę-

du z samego początku unikał starannie wszelkiej wymiany myśli, zgoła nie podejrzewając, że to oszczędzanie przykrości staje się dla matki źródłem boleści, unikanie zaś drobnych starć prowadzi wprost do katastrofy raptownego zerwania, bo zgóry wyklucza wszelką możliwość porozumienia się; w dodatku, stokroć prędzej mógł przypuścić, że w materialistycznym pojmowaniu dziejów są pewne luki, niż to, że jego matka do tego porozumienia rozpaczliwie dąży.

Dopiero scena przed obrazem otworzyła mu oczy na wiele rzeczy; w ciągu dwóch dni nietylko zrozumiał stan matki, krzywdę, którą jej wyrządził, ale odczuł w całej pełni chaos mnóstwa sprzeczności, nagromadzonych w duszy.

To też obecnie w słowach pani Andrzejowej Michaś znajdował właściwie tylko potwierdzenie tego wszystkiego, co o niej przez dziś i wczoraj przemyślał: nietyle więc wzruszała go treść opowiadania, ile sam sposób. Wzruszał go spokój jej cichego głosu, w którym drgała niezwykła tkliwość—jedeny ślad świeżego szlochania, jasność jej rozszerzonych źrenic, gdzie zdawało się jedynie poto zjawily się przed chwilą łzy, by im dawne blaski przywrócić. Dziwił go brak skarg i wyrzutów, które spodziewał się usłyszeć i przyjąć w milczeniu, jako zasłużoną karę. Tymczasem oczekiwanej kary nie mógł w jej słowach odszukać; natomiast brzmiała w nich miłość olbrzymia, ciepło serdeczne, nieomal wdzięczność za wyrzą-

dzoną krzywdę. Uderzyło go to z początku, później—zaczęło drażnić, bo go upokarzało coraz silniejsze poczucie winy; potem go wstyd ogarnął i dziwna jakaś nieśmiałość, która się wkrótce zmieniła w tak wielkie rozrzewnienie, że Michaś, będąc, nietyle z natury, ile z zasady wrogiem czułościowości, bał się poruszyć, odezwać, bo czuł, że lađa chwila może się rozszlochać, jak dzieciak. Siedział więc, jak zastygły, skupiony, marszcząc srogo brwi, co stanowiło rażący kontrast ze smutnym, łagodnym wyrazem jego oczu, zapatrzonych gdzieś w dal.

Kiedy zaś pani Halina skończyła, nastąpiła dość długa chwila drażniącego milczenia. Później Michaś, jakby w roztargnieniu, wziął rękę matki; zaledwie jednak dotknął jej szczupłych, szorstkich, pokłutych igłą palców, nie wytrzymał: osunął się nagle z krzesła i znalazł się u jej kolan. Ona zaś, wprost przerażoną tem, co się dzieje, usiłowała w pierwszej chwili wstać, a gdy uczuła na swych dłoniach drżące usta syna i wilgoć łez, pozostała na miejscu bez ruchu, tając oddech w swych pierśsiach, jakby nie chciała stracić ani jednego wzruszenia, wypełniającego szczęściem jej serce, lub bała się spłoszyć nieprawdopodobne, rozkoszne widzenie.

Tego wieczora, choć to nie była sobota, przed obrazem Matki Boskiej zapłonęła lampka i paliła się odtąd co noc.

Pani Andrzejowa była przez pół roku zupełnie

szczęśliwa. Stosunek jej do syna zmienił się do niepoznania, chociaż ułożył się w sposób trochę oryginalny, niejako odwrotny. Michał stał się przewodnikiem, opiekunem, a nawet nauczycielem swej matki, a pani Halina — niejako młodszą siostrą i wychowanką własnego syna; ale właśnie w ten sposób ziściły się najlepiej nieokreślone jej marzenia, bo takimi są w istocie bezwiedne tęsknoty i naturalne pragnienia każdej samotnej, znużonej duszy, zwłaszcza kobiecej.

Michał również znalazł w pojednaniu z matką wiele przyjemnych niespodzianek, bo nie tylko pełne ciepła i subtelnej tkliwości kochające serce, ale i umysł, obdarzony niezwykle intuicyjną inteligencją, bogaty w znajomość życia i doświadczenie. Okazało się, że dużo z tak zwanych w kółku Michasia „kwestyj“, które były słabym tematem jakkolwiek ożywionych, czysto jednak teoretycznych rozpraw, są tylko pozornie czemś obcym dla pani Haliny; bo gdy syn był ledwie lichym teoretykiem, matka była świetnym praktykiem, który wiele przeszedł i widział, i umiał przytem patrzeć. Jeżeli więc nie odrazu mogli się porozumieć, to głównie dlatego, że teoretyk miał na zawołanie moc gotowych terminów i formuł, w których praktyk nie mógł się zorientować i połapać; skoro się jednak dowiedział, że to ta stara, dobrze mu znana rzecz, tak się dziwacznie nazywa, czuł się u siebie w domu, gdy teoretyk tymczasem musiał miną nadrabiać

To też, na przykład, kiedy Michał dowodził, że na świecie obecnie toczy się ciężka walka o byt — matka, wiedząc już, że tak się mieni spędzanie nocy nad suknią, odnoszenie roboty w słotę lub mróz na bardzo odległą ulicę, wyczekiwanie po kilka godzin na parę rubli zapłaty — mogła powiedzieć, że od tej walki oczy pełzną i chudną rękę, włosy płowieją — i tak żyć ciężko, doprawdy! A gdy się Michał oburzał, że do roboty przy większych gmachach zjechali obcy mularze, a ci, miejscowi, za marny pieniądz muszą się tulać gdzie indziej, to w duszy matki wstawało straszne wspomnienie, że to już było przed laty i skutkiem tego mąż jej, straciwszy stałe swe miejsce, musiał, jak majster zwyczajny, czepiać się drabin, aż się z nich jedna złamała.

Naogół więc, jeżeli nie w szczegółach, to w istocie swych dążeń, Michał znajdował w sercu swej matki sympatyczne echo, a nieraz i serdeczne, żywe poparcie. Był przecież jeden temat, którego pani Andrzejowa nie chciała wcale poruszać: kwestja religji; stała się ona nawet obecnie jedynym niepokojem, bo chociaż Michał na prośby matki przestał z nią kwestję tę wszczynać, nieraz w dysputach kolegów, którzy się teraz w mieszkaniu wdowy schodzili, rozprawiano o tem dosyć żywo. Właśnie sam Michał najtrafniej streścił rezultat tych długich rozpraw, gdy kiedyś na zapytanie kolegi: — „Cóż ty?“ — odparł: — „Nic nie wiem!“ i niecierpliwie zwichrzył swą bujną czuprynę. Mi-

mo to jednak, pani Andrzejowej było ogromnie przykro słuchać, że można pytać o takie rzeczy, a jeszcze przykrzej było wiedzieć, że syn jej wątpi. Była zaś prosto przerażona, gdy siebie parę razy na podobnych pytaniach schwytała. Opędziała się tym myślom zawzięcie; gdy zaś to nie pomogło, uciekała do kościoła i tam się modliła niezwykle długo i żarliwie, a w tych modlitwach było coś podobnego do konwulsyjnego skurczu ręki, ściskającej drogi przedmiot, który się z palców chce wymknąć i potłuc na miazgę. Podobne modlitwy, oraz świadomość tego, że Michaś jednak „nic nie wie“, były jedynym cieniem w całej powodzi światła i ciepła, która od pamiętnego wieczora rozpromieniła jej smutną istotę i tyle wlała ożywczej rosy w spękaną grzędę jej serca, że aż świeżym kwiatem porosła. Wraz z duszą odmłodziła i ciało: czarne oczy nabrały blasku, i choć nie były to już dawne węgle płomienne, płonął w nich przecież stale cichy promień, łagodny, jak zorza gasnącego słońca. Pani Halina nabrała ciała, twarz jej wypełniała, cera odzyskała swą świeżość, ruchy się stały żywszymi, bardziej elastycznymi — i gdy tak szła wysoka, krokiem poważnym, lecz pewnym, zdawało się, że idzie piękny jesienny dzień. Szron w ciemnych włosach był jedyną zapowiedzią zimy.

Ta nagle zmiana w usposobieniu i zewnętrznym wyglądzie wdowy była częstym przedmio-

tem rozpraw wśród stałych gości pobliskiej piwiarni.

— Niech piorun trzaśnie! — zaczynał zwykle ślusarz Maciej — kuma mi tak wygląda, że aż lubo patrzeć; człowiek sam przy niej młodnieje. Jędre! cztery piwa, gamoni! za zdrowie kumy!

— Toż to nie stara kobieta — wtrącił sklepikarz — ileż ona ma? — najwięcej trzydziestkę!

— W wasze ręce, w moje gardło! — popijając z kufla, odpowiadał Maciej. — Co sąsiad pleciesz! Michaś ma osiemnaście, matka — trzydzieści osiem.

— Ba, ba, ba! — krzywił się mydlarz — moja kobieta ma ledwie trzydzieści pięć, a przy niej, jak stoczek przy świecy wygląda.

— A pamiętacie? toż to niedawno zdawało się, że ledwo zipie!

— Ha, ha! a teraz tobyś sąsiad dobrze zipał, jakby tak przyszło co do czego — uderzając mydlarza w kolano, śmiał się sklepikarz — bo trza państwu wiedzieć, że brunetka, jak musztarda: młoda — rzadka, stara — sucha, a średnia — sam smak i kolor, i moc! Mam akurat świeży transport dla sąsiadów.

— Dasz pan na kredę, to wezmę.

— Tak mówię, a przepowiadam, że będziemy mieli jeszcze w kamienicy weselisko — kończył zwykle rozprawy tapicier, przyczem przymrużał lewe oko, co miało oznaczać, że ma pewne dane

ku temu. A chociaż nie wiedział nic a nic, przypuszczenia miały pewne podstawy.

Na tej samej ulicy, co p. ni Halina, mieszkał nie-
młody introligator i zarazem flecista orkiestry
teatralnej, trochę odludek i oryginał, zresztą cz o-
wiek dość inteligentny, który, zarówno, jak wd o-
wa, pochodził z lepszej sfery. Z powodu oprawy
jakiejś książki Michasia zetknęli się z sobą raz
i drugi, a ta znajomość przelotna, poparta współ-
nością pochodzenia, tradycy i wychowania, a tak-
że podobieństwem, jeżeli nie kolei losów, to osta-
tecznego rezultatu, który ich oboje do niższego
środowiska doprowadził, posłużyła za grunt do
zażyłszych stosunków. Jeżeli jednak pan Michał
Stawski od dość dawna żywił dla pani Haliny coś
więcej, niż sympatję, to w sercu wd owy uczucie
to drgać zaczęło właśnie w epoce odrodzenia i
prawdopodobnie stało się z kolei pierwiastkiem,
potęgującym wzrost nagły pulsów jej życia. Wd o-
wa już przedtem raz kategorycznie odmówiła fle-
ciście, co nie zamąciło jednak ich dobrych sto-
sunków, a obecnie lękała się poprostu, by starań
swych nie ponowił, bo czuła, że trudno jej bę-
dzie odpowiedzieć: tak! — przez wzgląd na syna,
a może trudniej jeszcze: nie! — przez wzgląd na
własne swe serce, gdzie wraz ze spokojem i szczę-
ściem odezwiała się struna, którą przedtem uwa-
żała za starganą i zniszczoną już na zawsze. Te
same jednak okoliczności, które zdawały się sprzy-
jać zamiarom muzyka, stały się w rezultacie po-

średnią przyczyną nowego niepowodzenia. Jeżeli
przedtem pan Michał przyjął z rezygnacją słowa
wyroku, to obecnie czuł, że ponowna odmowa bę-
dzie dlań nietylko przykrością, lecz ciężkim cio-
sem. To też im wyraźniej domyślał się, że w ser-
cu wd owy zaszła pomyślna dlań zmiana, tem wię-
kszy go strach ogarniał przed chwilą stanowiącą.
Im silniej pragnął, tem silniej się wahał, aż wkoń-
cu spóźnił się fatalnie.

Rok szkolny minął tak szybko, jak każde szczę-
ście. Ogólna radość z patentu dojrzałości Micha-
sia miała się wkrótce zamienić dla pani Haliny
w ciemne źródło smutku i tęsknoty. Michaś mu-
siał wyjechać do wyższego zakładu technicznego
w dalekie strony. Matka wiedziała, że dla przy-
szłości syna jest to konieczne; nigdy jednak nie
zastanawiała się dłużej nad tem, a do ostatniej
chwili, zajęta przygotowaniami do wyjazdu, nie
podejrzywała, jak bardzo bolesną będzie dla niej
rozłąka.

Dopiero gdy uderzył ostatni dzwonek, wd owa
uczula w swej piersi poprostu fizyczny ból, jak-
by nie dzwonek serce, ale jej własne ktoś targ-
nął. Pociąg gwizdnął i ruszył... Pani Halina za-
dygotała, jakby ten ostry dźwięk przebił ją na-
wylot, a później z uczuciem chłodu w członkach
zastygła na miejscu, niema i zimna, jak bryła lo-
dowa. Ciężkie wagony mijaly ją coraz szybciej
i szybciej... Michaś ze swego machał chustką...
wkońcu mignęła latarnia, jeszcze raz buchnął kłab

dymu, gdzieś woddali zamigotały różnokolorowe światelka podniesionego sygnału — i znikło wszystko, a ona ciągle jeszcze patrzyła przed siebie jakimś wylękłym osłupiałym wzrokiem i choć jej oczy były niezwykle szeroko rozwarte, nie różniała ani szyn, ani słupów telegraficznych, widziała tylko jakąś ciemną mgłę, w której migwały jaśniejsze płatki białe, jak chustka Michasia. Dopiero kilkakrotne gwizdanie manewrującej lokomotywy wyrwało ją z odrętwienia; drgnęła, jakby ze snu zbudzona, i sennym wzrokiem obejrzała się wokoło: za nią był pusty peron, przed nią — pusta płaszczyzna zżętego pola, ale największa pustka była w niej samej w tej chwili. Powróciła tramwajem do domu, gdzie w nocy, po raz pierwszy od kilku miesięcy, powtórzyły się dawne objawy: wrażenie niezwykłego ucisku w lewej pierś, brak tchu, niepokój i olbrzymie osłabienie; do tego dołączyły się, nieznane przedtem, kilkakrotne, szybko następujące po sobie, szarpania w sercu. Jednym słowem, była tak chora, że kilka dni podnieść się z łóżka nie mogła. A wstała tak zmieniona, że zdawało się, iż te dni — to lata. Potem zrobiło się jej znacznie lepiej, ale dawnych sił już w sobie nie czuła. W najbliższą niedzielę zjawił się pan Stawski, który czekał tylko wyjazdu Michasia — i doczekał się mniej więcej takiej samej, jak przedtem, odpowiedzi.

— Nie! panie Michale, to już nie dla mnie; pono mi milsza trumna, niż wesele! — przyczem po-

wiedziała to tak znękany głos i taki wyraz zmęczenia i smutku legł na jej twarzy, że flecista nie śmiał protestować, wstał, wziął cylinder i westchnąwszy, wyszedł w milczeniu. Ledwie jednak zdążył drzwi zamknąć, pani Halina rozplakała się, może właśnie dlatego, że ani iskry dawnego uczucia nie mogła odnaleźć w swem sercu. I nie tylko ta iskra, ale cała jej istota po wyjeździe syna naraz przygasła: cera zmierzchła, przymgliły się oczy, stępsiał umysł, wola i wszystkie uczucia. Stało się z nią coś podobnego, co ze skrzypcami, gdy im nałożą surdynkę: te same skrzypce, smyczek i struny te same — a jednak jakże odmiennie brzmi cała melodia! Dźwięki głuche, słabe, przyciszone i smutne, jak śpiew śmiertelnie chorego człowieka. Takim tłumikiem dla duszy ludzkiej bywa tęsknota — a ona to właśnie po wyjeździe syna w duszy osamotnionej matki się rozsiała. Z początku bolesna, jakby skoncentrowana w jednej komórce jej chorego serca, niezwykle ostra i paląca, rozplynęła się powoli po całej istocie, pogrążając duszę w stały stan łagodnego smutku i apatii, stan, graniczący niemal z melancholją.

Pani Halina, która przez pierwsze kilka tygodni po rozstaniu się z Michasiem, chwilami, szczególnie wieczorem, nie mogła poprostu wysiedzieć w pokoju samotnie, po pewnym czasie uspokoiła się ogromnie. Przestała szlochać po nocach, przestała rzucać się na kolana przed obraz Ma-

rji Panny i klęcząc, z twarzą, ukrytą w dłoniach, powtarzać niezmordowanie jedno i te same słowa:—„Matko Najświętsza, Matko Częstochowska, Matko Bolesna!...” —Sercowe jej ataki również osłabły; a jeżeli wszystkie podobne wybuchy zdarzały się czasami, szczególnie po otrzymaniu listu od syna, były jednak coraz rzadsze, mniej silne, aż wkońcu ustąpiły zupełnie. Wdowa stopniowo odzyskała apetyt, sen, a nawet, zdawało się, iż snu potrzebuje więcej, niż dawniej, bo choć zwykle kładła się dość wcześnie, wstawiała przeciw niechętnie i cały dzień wyglądała, chodziła i pracowała, jak zaspana: myliła ściegi, chwilami znów opuszczała ręce z robotą wzdłuż ciała i patrzyła łzawemi, zamglonemi oczyma gdzieś wdal, jakby zamyślona głęboko, choć nie myślała o niczem; nieraz szukała długo nożyczek, które leżały tuż przy niej, a czasami musiała sobie przypominać, czego właściwie szuka? i co ma robić? To też krzywiono się na nią i możeby wymówiono jej robotę, gdyby nie to, iż pani Halina po wyjeździe Michasia, zamiast rubla dziennie, brała tylko pół i jedzenie (bez kolacji), co w gruncie rzeczy przy jej słabym apetycie było bardzo tanio, szczególnie dla domów rodzinnych, gdzie jeden stołownik mniej, jeden więcej—nic prawie nie znaczy; przytem zupełnie już gratis pozostawała przyjemność odszepnięcia na zapytanie zaproszonego na obiad gości:—*Qu'est-ce que c'est?*

— Ah! *c'est une pauvre femme* — ściubie tam

coś dla moich dziewczątek... Może pan dobierz sałaty—Izia przyrzadzała.

W rezultacie więc, pomimo swej opieszałości, miała pani Halina dnie wszystkie zajęte i od dziewiątej z rana do ósmej wieczór była zawsze poza domem. Wieczory w domu różniły się od dnia głównie tem, że nie szyla; spędzała je zwykle w jeden i ten sam sposób. Zdejmowała wierzchnie odzienie, zapalała lampkę przed obrazem, nastawiała mały samowarek i siadała na fotelu, gdzie często pograżała się w taki niemal kataleptyczny stan osłupienia, że nieraz i samowar zgasł i cała kamienica już dawno spała, a pani Halina siedziała, ciągle nieruchoma, wpatrzona w jeden punkt przestrzeni. Dopiero jakiś dźwięk, zwykle przeciągle wycie syreny w pobliskiej fabryce budziło ją z odrętwienia. Wtenczas z głębokiem westchnieniem wstawiała, zbliżała się do samowara, dotykała go oburącz, a czując, że chłodny, uśmiechała się jakimś wprost rozdzierająco-smutnym uśmiechem, zaczynała się rozbierać z automatyczną powolnością i kładła się spać, zapominając czasem o wieczornym pacierzu. Nazajutrz wstawiała późno, jeszcze mizerniejsza, bardziej apatyczna i przybita, niż zwykle.

W ten sposób minęły zgórą dwa lata.

Przez ten czas Michaś ani razu nie mógł odwiedzić matki, bo dostał jakąś świetną kondycję, z warunkiem jednak, że na wakacje i święta nie będzie opuszczał swoich pupilów. Zgodził się bez

wahania, bo musiał. Z pieniędzy, złożonych w kasie, wybrał prawie wszystko i wkrótce mógł się zostać na bruku bez grosza. Donosił o tej lekcji matce, jak o wielkiem szczęściu, którego doniosłość pani Halina oceniła rozsądkiem, a gorycz, w niem zawartą, wchłonęła w swe serce. Od tego czasu wszystkie święta, w które ucząca się młodzież ma dłuższe ferje, wdowa obchodziła tak smutno, jak pogrzebowe rocznice. Uroczystość tych dni, gwar i powszechne wesele zdawały się istnieć jedynie na to, by silniej uzmysłwić jej samotność i dać odczuć, że dawniej święta spędzali razem; mogliby i teraz, ale nie będą. Swoją drogą pani Andrzejowa, ulegając nałogowi tradycji, dwa razy, myśląc ciągle: poco to wszystko?—przyrzadziła sobie rybę na wigilię, dwa razy kupiła babkę, kółko kielbasy i kraszanek, i oba razy oddała to jedzenie zaglądającym do niej żebrakom, a malowane jajko—jakiemuś ulicznikowi, co miał oczy tak wielkie i ciemne, jak jej syn. W tym roku również z przykrem uczuciem słuchała wyrzekań pani mecenasowej, że mąka droga, a ryby na wagę złota, bo jej to przypominało, że zbliża się Boże Narodzenie. Aż naraz w ostatnią niedzielę adwentu, akurat wtenczas, gdy był flecista, który, choć rzadziej, jednak stale ją odwiedzał, przyniósł jej pocztyljon kartkę otwartą. Zaledwie jednak pani Halina przebiegła ją oczyma, przybladła silnie i zaczęła oddychać niezwykle szybko, jakby jej zabrakło tchu.

— Co pani jest?—zerwał się wystraszony flecista.

Ona zaś, chwytając otwartemi ustami powietrze, oddała mu list.

„Mamusiul *vivat!* Rodzice moich hebesów uważają, że ich pociechy są już dość duże, by mogły samodzielnie zbijać baki na święta. Stąd wniosek, prosty jak obręcz, że przyjadę. Cieszę się, jak oberwany wisielec. Djabło mi już tęskno do Ciebie, wszystkich i wszystkiego. Wyjeżdżam w przyszły czwartek, o ósmej na wigilię będę w domu. Proszę nie zapomnieć o rybie na zimno i o łamańcach; a maku nie żałować: wszak muszę odjeść moje dwie...”

Tu muzyk przestał czytać, słysząc szmer cichego płaczu. Podniósł zdziwione oczy i zobaczył bladą już, ale uśmiechniętą twarz pani Haliny i wielkie, staczające się po jej policzkach, łzy.

— Och! panie Michale! panie Michale! — odezwiała się wkońcu przerywanym głosem wdowa i zanim zdumiony flecista zdobył się na odpowiedź, wyrwała mu z ręki list i przycisnęła namiętnie do swych ust tę żółtą kartkę. Muzykowi, niewiedomo dlaczego, zrobiło się dziwnie smutno; wstał, spojrzał jakby z wyrzutem w rozpromienione oczy uszczęśliwionej kobiety i wyszedł tak szybko, że pani Halina, która go miała zamiar zaprosić dziś na obiad, nie zdążyła tego uskutecznić. Potrzebowała jednak widocznie przed kimś się wygadać i to zaraz, bo chwyciła szal

i narzuciwszy go na głowę, przebiegła przez podwórze i wpadła, jak wichur, do mydlarzowej, tak jeszcze wzruszona i olada, że sąsiadka była pewną, iż co najmniej złodzieje z góry bieliznę pokradli. Gdy zaś dowiedziała się o wszystkim, ucieszyła się serdecznie, prawdopodobnie przez wzgląd na swą siedmnastoletnią Manię, która była nie tylko wysoka, jak świeca, ale równie szczupła i biała, po za tem dobra i gospodarna dziewczyna, niegdyś towarzyska zabaw dziecinnych Michasia, a w rojeniach, patrzących na to matek — przyszła jego żona. Po mydlarzowej wkrótce cała kamienica wiedziała, że syn pani Tokarskiej przyjeżdża, bo wdowa każdemu, kogokolwiek spotkała, czuła się w obowiązku zakomunikować tę wielką nowinę, tak przytem w jej mniemaniu pełną szczęścia, że chwilami była poprostu niemile zdziwiona, widząc, jak niektórzy zachowują się wobec tej wiadomości chłodno i obojętnie. Jeżeli jednak niejedna kwaśna mina, słysząc po raz pierwszy: — „Michaś przyjeżdża!“ — pozostała równie kwaśna, twarz pani Haliny za każdym razem, gdy komuś lub sobie powtarzała te słowa, promieniała, jak zorza.

— Ale na panią mróz działa, jak wiosna — zauważyła w poniedziałek mecenasowa, widząc, jak pani Halina, tak jeszcze w sobotę apatyczna, dziś z niezwykłą energją stebnuje spódnice.

— Syn mój przyjeżdża — odpowiada trimfują-

cym głosem wdowa, a twarz i oczy jaśnieją błogim uśmiechem.

— Pani to coraz młodsza, jak Boga kocham! Wygląda pani jak, nie przymierzając, te malinowe pomarańcze, pyszne... po dziesiątce... dla pani grosz opuszczę po znajomości — trzepie sklepikarz, wydając jej resztę.

— Michaś przyjeżdża! — uśmiecha się pani Halina i nie wie dlaczego, radaby uściskać tego pocziwca. Jednem słowem, jest to jedyne wyczerpujące objaśnienie, którego wdowa chętnie udziela wszystkim, co się zdziwili tą nagłą zmianą w całej jej istocie.

A dziwić się jest czemu! — bo gdy oto teraz obiera rybę, z wypiekami na twarzy od gorąca blachy, pod którą się pieką strucle i łamańce, wygląda, jak młoda kobieta, która w celu mistyfikacji przypudrowała sobie włosy, pokładła trochę zmarszczków na rumianej twarzy i cień rzuciła pod błyszczące swe oczy. Wprawdzie zmrok już zapada: trudno więc określić, co w tym wyglądzie jest prawdą, a co — fałszem; niewątpliwie jednak — pani Halina w ciągu kilka dni odmłodziła co najmniej o lat parę. Czuje to sama, że jest dziś tak zdrowa, wesola i żwawa, jak rzadko. Od rana krząta się w kuchni, nie czując zmęczenia, przytem wszystko udaje się jej wyśmienicie. Sandacz w galarecie trzęsie się tak apetycznie, że z przyjemnością zjadłaby kawałek, zwłaszcza, że czuje głód; nie chce go jednak sama napocząć.

Natomiast wyjmuję struclę z pieca, wycina ze spodu spory trójkącik, chucha nań i próbuje... wyśmienite, bez cienia zakalca.

— No, jak idzie, to idzie—szepcze uradowana wdowa, odpinając fartuch.—Wszystko już prawie gotowe. Zupa migdałowa stygnie w wazie: farsz, sosy — palce lizać!

Karasia dosmaży na patelni w trakcie wieczery. A teraz, marsz! po resztę sprawunków. Wigilję pani Halina urządza królewską; wszak może sobie pozwolić! Suknię hrabianki skończyła na termin, pieniądze ma: o, tu! w woreczku—pięć, trzy i trzy—jedenaście rubli; na wino, bakalje, pierniki—aż nadto! ...Trzeba się tylko przebrać—myśli. Wchodzi do pokoju, siada na chwilę odpocząć, wyjmując z za gorsu pomiętą kartkę, czyta ją po raz setny, uśmiecha się i całuje. Wkrótce potem, w czarnej, dość długiej szubie, w bronzowej w grochy woalce, dobranej do koloru kape-lusza i nicianych rękawiczkach wybiega na ulicę.

Słońce już dobrze zaszło, a w mieście niemal tak jasno, jak w dzień. Ze wszystkich wystaw sklepowych przez ogromne witryny wylewają się potoki światła na ulice, pokryte śniegiem, co jest tak zjeżdżony i stratowany, że wygląda, jak popiół. Ruch przytem wszędzie niezwykły: na chodniku tłumy ludzi najrozmaitszego rodzaju, płci, wieku i gatunku pędzą w różne strony z niezwykłym pośpiechem, jakby w gorączce; prześcigają się nawzajem, potracając się, witają, śmieją,

rozmawiają, gdzie niegdzie znów się kłócą, a robią to tak pośpiesznie, nagwałt, iż łatwo się domyślić, że bliski już termin, do którego trzeba to wszystko skończyć. Pośpiech znać wszędzie: w szybkich ruchach, w podnieceniu twarzy, w wyrazie przeważnie śmiejących się oczu, w sposobie trzymania paczek, któremi każdy prawie jest mniej lub więcej obładowany, w całym tym gwarze urywanych rozmów, zdań i wykrzykników, a zwłaszcza w szybkich tempach grzmiących *furioso* grzechotek, co szarpia się gwałtownie, jakby się chciały oderwać od chudych szyi różnomaścistych koni, które w parę lub pojedynkę rozwożą sanki po całym mieście.

W chłodnem powietrzu unoszą się powoli białe puchy rzadkiego śniegu, co stanowi jedyny kontrast z całą tą pulsującą przyspieszonym tętnem, pstrą mieszaniną ludzi, gwaru, migających się satelek i świateł, co zdaje się, dziś płoną także weselej i szybciej, niż zwykle. Ruchliwy wir ten zaraz od bramy porywa nową część w postaci pani Haliny, która się czuje w nim wybornie. Jej stan duchowy harmonizuje zupełnie z tym podnieconym i wesoło śpieszącym się tłumem. Idzie szybko, uśmiechnięta, zręcznie wymijając przechodniów; czyni to instynktowo, bo nie na tłum patrzy: oczy jej suwają się ciekawie po witrynach sklepowych, gdzie się mienia kokieteryjnie najrozmaitsze przedmioty: krawaty, lampy, materiały bławatne, placki, dziady czekoladowe o białych

kapturach i lukrowanych brodach, serdelki, salcesony, gwiazdy, świeczki parafinowe i inne przybory do ubrania choinki — aż wkońcu w jednej — piramida z butelek. Tu pani Halina oddziela się od tłumu i wpada do składu win.

W sklepie tłok. Trudno docisnąć się do kontuaru. Co chwila ktoś kogoś potrąca; wokoło słychać: — „Przepraszam! To moje nogi!...“ — „Co się pani pchasz!“ — „Kiedyż to będzie? — od godziny czekam na ten tokaj.“ — „W tej sekundzie!“ — uspakajają, nietylko wypomadowani, ale spoceni subjecki, kręcąc się, jak frygi. Pną się po drabinkach, zawijają butelki, piszą kartki do kasy, szturcząją podręcznych chłopaków, nie mogąc wydołać żądaniom niecierpliwiejszej się publiczności. Pani Halina wciska się, jak klin, pomiędzy jakiegoś łysego pana i grubą panią w pysznej rotundzie. Otyła dama, snadź mocno zirytowana tem zuchwalstwem, mierzy panią Halinę oburzonem spojrzeniem, w którym się maluje cała różnica, istniejąca pomiędzy drogim aksamitem jej futra a tanim kortem zwyczajnej salopy. Wdowa jednak nie zwraca na to najmniejszej uwagi: ciśnie się dalej i jest wkrótce u celu.

— Butelkę węgierskiego — zwraca się do subjecka.

— Słodkie czy wytrawne?

— Wytrawne — odpowiada wdowa, ulegając nie swemu gustowi, lecz przypuszczalnym upodobaniom dorosłego syna.

— Co więcej?

— Wódki.

— „Kimel“, „Jeziorko“, „Wiosłarka“, „Żubrówka“, „Cyklista“ — bardzo dobra.

— Niech będzie „Żubrówka“.

— Proszę dwa dwadzieścia do kasy! — komenderuje subjeckt, wręczając jej kartkę.

Wkrótce pani Halina, wyciśnięta, jak cytryna, bynajmniej jednak nie kwaśna, z dwiema butelkami pod pachą wydostaje się na ulicę. Wdowa nie lubi takich pysznych sklepów, gdzie nie może się ani potargować, ani odpocząć, ani pogadać, gdzie subjeckt patrzy na nią zgóry i do młodych dam się uśmiecha.

...Niema, jak żydzi — myśli — przebiega przez ulicę tuż pod nosem dorożkarskiego konia i wpada do sklepu galanteryjnego.

O ile magazyny spożywcze pracują dziś niezwykle, sklepy, jak ten, są prawie puste.

To też odrazu dwaj, trochę brudni, ale eleganccy, kędzierzawi, o wielkich nosach subjecki zrywają się z swych miejsc, jak dwa naraz uderzone klawisze, gotowi do usług pani dobrodziejki.

— Krawaty — komenderuje pani Tokarska, rzucając się bez ceremonji na wolne krzesło.

W tej chwili cały stos kartonowych pudełek zjawia się na kontuarze.

— Muszki, długie, wiązane, plastrony — recytują subjecki, rozkładając z niezwykłą precyzją „wyborowy“ towar.

— Ten bardzo gustowny i tani, pani dobrodziejko—zachwala jeden, przymierzając do kłapy czarnego żakieta jaskrawy plastron.

— Żydowszczyzna — wzrusza ramionami pani Halina—proszę o lepsze; wezmę dwa, ale porządne... potrzebuję dla syna, który dziś przyjeżdża—dodaje wdowa takim tonem, jakby oczekiwała, że na tę wieść obie kędzierzawe głowy schylą się pokornie do jej kolan.

Głowy jednak, zamiast nadół, jadą szybko w górę, są już pod sufitem, ciągnąc z najwyższych półek nowe pudła.

— Po czemu te? — wybiera pani Halina jeden z najgustowniejszych krawatów.

— Rubel pięćdziesiąt, pani dobrodziejko! czysty jedwab.

— Dla pani odstąpimy złotówkę!—dodaje szybko drugi, spostrzegając na twarzy wdowy drwiący wyraz.

— Gadaj pan zdrow!—oburza się wdowa—jest akurat tak czysty jedwab, jak pańskie sumienie. Biorę ten i ten mniejszy, razem dziesięć złotych! ani grosza więcej.

Zaczynają się targi, podczas których obie kędzierzawe głowy wysilają całą swą wymowę, by przekonać panią Halinę, iż jedynie dla niej i jej syna gotowi są stracić parę złotych i oddać jej ten zagraniczny towar za dwa ruble. Pani Halina jednak okazuje się tak twardą, że koniec końców zwycięża; w dodatku każe sobie butelki związać

sznureczkiem i z nową paczką, nie zważając na natarczywe propozycje kupienia spinek dla syna i wprost za psie pieniądze—wiedeńskiej portmonetki, rzuciwszy krótkie: — *Adieu!* — wychodzi.

— Padam do nóg! — brzmia jednocześnie dwa głosy, a potem jeden, zwracając się do towarzysza, mówi z westchnieniem: — „Panie Henryk, co byś pan robił, gdyby wszystkie kundmany były takie?” — „Niech jej wątroba spuchnie z rękami i nogami!” — warczy pan Henryk, porządkując rozrzucone krawaty.

Tymczasem wdowa, schodząc ze schodków, spostrzega w sznurze wijących się sanek znajomą, wyczerpaną twarz jadącego gdzieś z tłumoczkim doktora. ...Gdzie ten Wilski wyjeżdża?—dziwi się pani Halina, która u doktorostwa szyje dość często i chętnie, bo jakkolwiek sama Wilska jest to grymaśna dama, ma przecież jedną zaletę, mianowicie—syna Antosia, który koleguje z Michasiem. Jest to więc dom, w którym wdowa może się prawie zawsze czegoś nowego dowiedzieć, jeżeli nie o samym Michasiu, to o środowisku, w którym on przebywa. Raz nawet widziała Antosia, który jej długo opowiadał o mieście, o synu, o niezwykłej popularności, jaką się ten „Tokarz” cieszy wśród kolegów, i z niekłamaną życzliwością zapewniał panią Halinę, że jej Michaś to setny i zacny chłop, dzielna dusza ich kółka, przyczem uszczęśliwiona matka miała sposobność oglądać ładny mundur ich zakładu. Wszystko to przypo-

mina sobie pani Halina, patrząc na niepokojącą, jakby dziś jeszcze więcej zgarbioną i zmęczoną postać jadącego doktora. ...W taki dzień wyjeżdża chyba do chorego... Biedny człowiek! nie ma nigdy spokoju...—myśli pani Halina—zapracowany, a ona... tu tok jej myśli przerywa natrętny, świdrujący głos małego obdartusa:

— Niech pani kupi kalendarzyk za pięć kopiejek.

— Nie potrzebuję — brzmi ostra odpowiedź.

— Moja złota paniusiu! — naprzykrza się dalej, goniąc ją, chłopak, a w głosie jego brzmi tak namiętna prośba, że pani Halina, jakkolwiek jest wogóle oszczędna i nie lubi wydrwigroszów, zatrzymuje się na chwilę. Przygląda się malej, stojącej przed nią, drżącej od zimna figurce, a w miarę tego, jak patrzy na tę nieletnią nędzę, ogarnia ją litość i rozrzewnienie.

Z zasady jednak obdarza ona żebraków tylko w naturze.

— Poczekaj tu — mówi, wpada do sklepu, kupuje parę paczek pierników, każe zawinąć wszystkie, prócz jednej, którą obdarza oniemiałego od szczęścia malca, poczem, szybko zwróciwszy się w boczną ulicę w kierunku domu, wstępuje jeszcze do sklepikarza po bakalje. Jest już około szóstej, sklep, więc pusty: z tem większą radością gospodarz wita spóźnioną klientkę.

— O, pani Andrzejowo, rozhulała się pani, widzę — śmieje się sklepikarz, odbierając z jej ręki

pakunki — proszę dać; skurczybyk odniesie. A co mam dać?

— Dwa funty bakalij, tylko karmelków jak najmniej, a więcej marmoladek i daktyli.

— Pani toby pewno chciała samej malagi. Ładniebym wyszedł! — żartuje sklepikarz, odważając towar. — O, i pan Michał! — dodaje, witając życzliwym uśmiechem wchodzącego muzyka.

Pan Michał jednak jest dziś niezwykle chmurny, wita oziębło obecnych i siada w końcu, ponury, jak grabarz, otaczając się kłębami papierosowego dymu, jakby się chciał w nich pogрузić i schować. Nikt też nie zwraca nań uwagi, bo pani Halina wraz z kupcem jest zajęta wybieraniem malinowych, pomarańcz, a tak zwany skurczybyk — mały chłopiec do posługi, korzystając ze stosownej chwili, łasuje rodzyнки.

Muzyk tymczasem z jakimś gorzkim wyrazem przygląda się nieznacznie rozpromienionej wdowie i nagle, gdy ta już ma wychodzić, ofiarowuje się zastąpić skurczybyka w odniesieniu paczek.

— Wszystko jedno — mówi napozór obojętnie — idziemy w jedną stronę: poco malec ma darmo drzeć buty?

Uwaga ta jest tak racjonalna, że niepodobna oponować: pani Halina więc się zgadza, choć, niewiedomo skąd, jest jej dziś tak dziwnie w towarzystwie muzyka, że nie wie od czego zacząć rozmowę. Szczęściem, wyręcza ją pan Michał.

— Dziś wigilja! — mówi, równając się z wdową.

— Aha!—odpowiada pani Halina, jakby zdziwiona tą nowiną.

— Smutny dzień!

— Dlaczego?

— To jest przynajmniej dla mnie; dadzą mi w restauracji, zamiast kotleta na łożu, zepsutą rybę i przytem w sali będzie pusto i nudno... A w domu fałszywe kolędy będą mi szewcy wyśpiewywali w sąsiedztwie. Oczywiście, popiją się przy okazji.

Melancholijny ton głosu muzyka i treść jego słów budzą w sercu pani Haliny serdeczne współczucie. Czuje, że możeby wypadało zaprosić go na wieczór, ale z drugiej strony chce ten wieczór spędzić sam na sam z synem: nie odpowiada nic. Przykre milczenie trwa chwilę, poczem muzyk, wskazując oczyma paczki, mówi trochę zgryźliwie:

— To wszystko dla Michasia!

— Tak!—brzmi jakby nieśmiała odpowiedź.

— Naturalnie — z odcieniem gorzkiej ironji, ciągnie dalej muzyk.—Wszędzie Michaś, zawsze Michaś! On jeden tak się tłoczy w pani istocie, że nikt więcej już się zmieścić nie może!... A pan Michał—wybucha nagle — ma przecież swój flet: niech więc dmucha w to drewno... ta dziurawa fujarka—to jego powiernik, przyjaciel, jedyny towarzysz! Czego chcesz więcej! aż jedenaście klawiszy! Jest na czem wypiszczyć swoją tęsknotę, samotność i żal...

— Panie Michale! niech mi pan wierzy—przerwywa mocno wzruszona wdowa.

— W co ja mam wierzyć? — szepcze prawie groźnie, zatrzymując się, muzyk i spogląda jej w twarz takim jakimś dziwnym wzrokiem, że pani Halina spuszcza oczy i zapomina co mu chciała powiedzieć.

Po chwili jednak wzrok muzyka łagodnieje dziwnie; milczy sekundę, a potem miękko, z lekkim drżeniem i wielką prośbą, mówi cicho:

— Przepraszam!

Znow następuje długa pauza, którą teraz przerwywa pani Halina.

— Widzi pan, jak Michasia kocham, jeżeli mógłby być kto, to jeden pan; ale to nanie, nanie!—już nie czas!—kończy szybko, kategorycznie i nieswoim głosem.

— Dlaczego nie czas?—szepcze błagalnie muzyk, wchodząc w bramę.

— Bo nie czas!—odpowiada pani Halina, a jednocześnie czuje, że w niej zapalają się jakieś iskierki, które kłam słowom zadają.

Muzyk westchnął i dopiero na schodach, wręczając jej przy drzwiach pakunki, rzekł smutnie:

— Więc to ostatnie słowo, które mi pani daje na gwiazdkę?

Pani Halina długo milczała, wpatrując się usilnie w wyszarżane futro swej mufki, jakby je po raz pierwszy dostrzegła, a potem, nagle nik-

nać w drzwiach, rzuciła mu niskim, stłumionym głosem:

— Nie wiem!

Radosne—„Dziękuję!“—zabrzmiało za drzwiami; potem dało się słyszeć coś jakby poruszenie klamki, a następnie wdowa usłyszała wesołe gwiżdżenie triumfującego marsza.

Wyjrzała przez okno — i spotkał ją pełen galanterji, istnie młodzieńczy ukłon szpakowatego muzyka. Pani Halina cofnęła się szybko w głąb pokoju, jakby nierada z tego, co zaszło; usiadła na chwilę, czując się niezwykle podnieconą.— Głupstwo! głupstwo! nic z tego! — szepnęła, potrząsając głową, jakby chciała wyrzucić jakąś natrętą myśl. Później oparła się o poręcz fotelu i długo patrzyła w ciemny szafir nieba, gdzie drżały tłumy gwiazd, jasne i ciche.

Dopiero księżyc, co się wychylił bladą twarzą z za dachów, zbudził ją swym smutnym blaskiem z zadumy.

— Co robić?—szepnęła pani Halina, oglądając się naokoło, i teraz dopiero spostrzegła, że lampka przed obrazem nie płonie: chwyciła więc śpiesznie butelkę z oliwą, dołała lampkę, wrzuciła pływający knotek na korki i zapaliła, patrząc przytem w brązową twarz Matki Boskiej z takim jakimś życzliwym wyrazem, jakby chciała powiedzieć:

— Nie bój się, Ty!... to tylko chwilowe zapomnienie.—Następnie wyjęła obrus, nakryła stół,

położyła opłatki, wysypała we trązetowski koszyk bakalje, ustawiła butelki, dwa nakrycia, i z widocznem zadowoleniem przyglądała się chwilę swojemu dziełu. — Która to godzina?— spojrziała na zegarek. — Siódma! — O wpół do dziewiątej przyjedzie. Usiadła na fotelu; zerwała się jednak wkrótce i zaczęła chodzić po pokoju. Ogarnęła ją jakaś gorączka—wir uczuć i myśli. Michaś... pan Michaś...—wszystko latało po jej głowie, nie dając jej ustać na miejscu. Nie mogła wytrzymać dłużej w mieszkaniu, w ciszy, która spływała na miasto w uroczystą godzinę wigilijnego wieczoru.—Wiem, co zrobię—szepnęła wkońcu, ubierając się ponownie do wyjścia. Zdmuchnęła świecę, zbiegła szybko ze schodów i wpadła do kuchni sąsiadki.

— Moja Marjanno!—zwróciła się do służącej, która smażyła rybę—co to? już jedzą?

— O, już!

— Proszę, oto klucz: niech Marjanna przysle za jaki kwadransik swoją Anusię, by ogień pod blachą rozpalila; ja pobiegnę tymczasem do mostu. Spotkam Michasia, przyjedziemy razem. Moja Marjanno...

— Dobrze, dobrze, niech Bóg prowadzi—odparła dobrodusznie służąca, która lubiła panią Halinę, jak zresztą, prawie wszyscy w kamienicy.

— Dziękuję ślicznie—rzuciła wdowa, wybierając na ulicę.

— A pani gdzie?—zaczepił ją wesoło stróż.

— Na spotkanie — odparła, niknąc w cieniu bramy.—Na spotkanie! — powtórzyła raz jeszcze, czując, że jakaś ciepła fala rozlewa się w jej sercu, i szybko dążyła przez ulice miasta, bardzo już puste. Trudno było uwierzyć, że jeszcze przed godziną panował tu tłok, gwałt i gwar nie do opisania.

Wszystkie sklepy pozamykane. Rzadkie latarnie napróżno usiłują rozproszyć ciemności, paląc się przytem niechętnie, jakby rozżalone, że je zostawiono na pastwę samotności, mroku i zimna w ten wieczór świąteczny.

Ta panująca naokół cisza, ten wielki spokój łagodzi podniecony stan pani Haliny, tak, iż około mostu zatrzymuje się prawie bez śladów poprzedniego wzruszenia.

Czuje się nawet trochę zmęczoną, opiera się więc o balustradę i rozgląda naokoło. Nigdzie nikogo... gdzieś na moście tylko słychać łoskot kroków spóźnionego przechodnia... jakiś dzwonek odległy rzuca się, łka i jęczy coraz słabiej i dalej i wkońcu umiera... Znowu cisza, a w uszach szumi.

I nagle na jej tle, jak osiem stosów ognistych, rozpalają się kolejno i gasną pełne i poważne tony bijącego na wieży zegaru.

— Michaś wysiadł!—szepcze pani Halina i druga fala szczęścia rozlewa się w jej duszy... Je-

szcze pół godziny—myśli, przypatrując się jasno oświetlonym oknom, stojącej wdole, kamienicy.

Widok jest rzeczywiście pociągający i ciepły: pośrodku pokoju błyszczy się duży stół, zastawiony obficie; wigilja snadź się dopiero rozpoczyna, bo w końcu stołu stoi skupiona gromadka mężczyzn, kobiet i dzieci; wszyscy podchodzą pokolei do siwej, pokurczonej staruszki, skubiąc z jej ręki biały opłatek. Ona całuje w głowę każdego—zupełnie jednakowo, bez żadnej różnicy, czyto dorosłego, czy dziecko, i trzęsącą się dłonią robi nad każdym znak krzyża.

W oknach wyższego piętra obraz trochę odmienny: tam naokoło wysokiej, jarzącej się choinki skaczą rozradowane pędraki, a jakiś, jeszcze na czworakach chodzący, obywatel, zapewne przyszły marzyciel, wytrzeszcza swe wielkie oczy i jedną tłustą rączkę wyciąga w kiernnku złocistej gwiazdy, lśniącej się na szczycie.

...Może i Michasiowi trzeba było ubrać choinkę?—myśli wzruszona pani Halina i śmieje się z własnej swej myśli, przypominając sobie końcowy ustęp listu: — „Nie wiem, czy mama mnie pozna, bo zarost mi wyrósł bajeczny“.—Tu wdowa spogląda wzdłuż mostu, widząc jednak pustkę w długiej perspektywie, opiera się znowu o poręcz i patrzy wdół na rzekę. — Zamarzła. Pokryta śniegiem wyglądała, jak biała, puszysta wstęga, wprawiona w ciężkie ramy kamiennego brzegu. Po obu krawędziach ram powbijane latarnie, jak

złotogłowe gwoździe, ciągną się długim szeregiem, coraz gęstsze i mniejsze. Gdzie niegdzie z pod śniegu wyzierają połyskujące tafle lodu, a daleko widać coś, jakby ciemny pień, z centką ognistą—to ściśnięta krą berlinka ze światełkami w okienku. Rzeka jest w tej chwili trochę podobna do zapatrzonej na nią kobiety: stoi, jak ona, napozór spokojna; w głębi jednak, pod lodu powłoką, kręcą się nurty i wiry — tak samo, jak na dnie duszy pani Haliny zaczynają się kłębić wspomnienia i płyną, szemrząc cicho, w sposób, jedynie dla niej uchwytny.

Pani Halina tak jest wsłuchana w echową melodję przebrzmiałej przeszłości, że nie uważa, iż tuż za nią przesuwają się jedne sanki, potem—drugie i trzecie, aż dopiero głośniejsze dzwonki jakiegoś prywatnego pojazdu budzą ją z marzeń.

Wdowa się szybko ogląda; gwałtownie goni oczyma niknące już saneczki, a nie mogąc rozróżnić w zmroku siedzących osób, zbliża się do kraty i z wypiekami na twarzy czeka.

— Jadą! Sanki jednokonne; naprzędzie kuferek... To nie Michaś: on ma kosz, a może...—myśli szybko wdowa.

— Rzeczywiście nie on—jakieś dwie panie.

Odrazu kilkorol! Pani Halina przebiega po nich szybko oczyma... jego niemal! Znowu sanki — koszyk na koźle—podobny...

Pani Halinie serce wali, jak młotem... Nie! jakichś dwóch panów.

Dłuższa przerwa.

Znowu sanki; w nich rozparty jegomość w furcie, z wesołą miną. Dalej — barania czapka, pod nią znudzona twarz.

Znowu jeszcze dłuższa przerwa.

— Matko Najświętsza!—modli się gorączkowo pani Halina—czyżby?...—Nie! Jadą jeszcze.

Biały, duży koń, koszyk obok dorożkarza, za nim coś, jakby mundurowa czapka.

— On!... on! — szepcze, cała w ogniach, pani Halina, podbiegając parę kroków.

— Nie! oficer.

W następnych sankach czuła parą; jadą w uścisku. Dalej już nie!...

Pani Halina jest bliską płaczu, wyteża ucho... cicho! Co to jest? okropnie cicho... nie, jakiś dzwonek... — „O, Boże!“ — mówi wdowa, odzyskując utrudniony oddech.

— Dzwonek się zbliża bardzo powoli... jadą prawie stępa... dlaczego? Pierwsze puste... co to jest? drugie puste... to niepodobna! trzecich niema...

— Skąd wy? skąd wy? — dopytuje się wdowa jakimś zająkliwym głosem, gorączkowo i prawie z rozpaczą.

— A juści z dworca — odpowiadają chmurnie dorożkarze—pasażerów, psia kość, niemal po próżnicy człowiek się włóczył.

— Z dworca! — powtórzyła Halina, łapiąc się za kratę. — Nie, to nie może być!... on przejechał

wtenczas, tak, tak!...—szepcze, czując, że się pod nią trzęsą nogi.

— No, jedzie pani czy nie?—pyta dorożkarz.

— A jakże!... jadę... jadę... tylko prędko, mój panie—mówi wdowa przepojonym łzami głosem, pakując się do sanek.

— On jest w domu, napewno—szepcze drżącymi ustami, wydobywając zapłatę z pormonetki.

Dorożkarz zacina konia i choć jedzie wyciągniętym kłusem, dla niej wlecze się, jak zółw.

— Jakby na złość! Prędzej!—jęczy nerwowo kobieta przez zaciśnięte zęby.

— Pr! — zatrzymuje dorożkarz konia przed bramą.

Pani Halina rzuca mu pieniądze i wpada na podwórze, a wśląd za nią leci ochrypły głos:— „Za kawalerską jazdę tylko tyle! Psia krew! bodajbyś, cholero, nogi połamała!...”

Życzenie toomal się nie spełnia, bo wdowa, spostrzegłszy w swych oknach światło, z radosnym piskiem:— „Jest!”—szybko, jak iskra po luncie, przelatuje schody i otwiera gwałtownie niezatrzaśnięte drzwi.

Nikogo... pod blachą syczy ogień, a w drugim pokoju na oknie dopala się wielkim płomieniem topniejący ogarek, snadź zapomniany przez roztargnioną Anusię.

Pani Halina wodzi przez chwilę wprost zdumionym i mętным wzrokiem po białych ścianach

mieszkania, a potem, z jakimś cichym jękiem skaleczonego dziecka, osuwa się na fotel.

Siedzi chwilę, oddychając z trudnością, zgarbiona, jakaś niższa, jakby przygięta do ziemi całym ciężarem zabitej nadziei i tak gwałtownie przeistoczona w ból radości.

Wkrótce staje się jej tak duszno, że nie rozpina, ale wprost rozrywa szubę na sobie, zrzuca kapelusz, zrzuca to wszystko na podłogę, a sama opiera się obydwoma łokciami na stole, kryjąc twarz w dłonie. W pełgającym płomyku dogasającej świecy widać tylko jej srebrne włosy, chude, drżące palce, przez które zaczynają się sączyć łzy, tak obfite, że się staczają po dłoniach, kapią na obrus, bryzgając na opłatki, na daktyle, marmoladki i figi; zdają się nawet przenikać przez delikatne łupinki słodkich migdałów, zmieniając je w gorzkie.

Pani Halina dygocze cała od płaczu, a jest tak pogrążona w swojej boleści, że nie słyszy jak ktoś dopytuje się stróża:— „Gdzie mieszka Tokarska?”—nie słyszy również kroków po schodach i dopiero na dźwięk klamki i skrzyp drzwi podnosi nieśmiało załzawione swe oczy.

Z ciemnej futryny wynurza się przekrzywiony kapelusz, wydatna pierś i pokryta potem, czerwona, jakby pomieszana twarz doktorowej Wilskiej.

— Syn pani jesi?—sapie doktorowa, rzucając się na krzesło.

— Nie!—wstając nagle, odpowiada ze ściśnię-

tem gardłem pani Halina, a jednocześnie jakieś okropne przeczucie zrywa się w jej duszy. Czuje, że jakiś chłód chwyta ją za nogi: opiera się więc o ścianę, bielsza, niż ściana, i z błagalnym wyrazem wylękłego dziecka, które mają uderzyć, wpatruje się w twarz niespodziewanego gościa.

— Ma się rozumieć—zaczyna trzepać tymczasem, zwracając oczy, doktorowa—wiem, niema i nie może być... i mój Antoś takżel! Boże, co to będzie?... co to będzie?... Powiadam Tokarskiej: sądny dzień!... Dziś z rana jakiś nieznajomy jego—mość wręcza mi od kuzyna list... Gdzież on?...—szuka niecierpliwie po kieszeniach—właśnie! przeczytałam, myślałam, że umrę. Bo to już od tygodnia, a my nic nie wiemy. Michaś, mój i jeszcze kilku... nic nie rozumiem... nic nie wiem... dlaczego?...—Co pani jest? — urywa nagle.

Pani Halina rzeczywiście wygląda wprost okropnie. Oparta o ścianę, ma usta sine i wółotwarte... Głowa, odrzucona wtył, pozwala widzieć rozdętą szyję i gwałtownie pulsujące tętnice. W suchych jej rozszerzonych żrenicach migają jakieś złe ognie. Zato na czole, policzkach i rękach lśnią się obficie krople chłodnego potu, niby zmarzłe łzy, jakby nie oczyma, ale całem swem ciałem płakała. Wąrgi jej poruszają się bezdźwięcznie, a zakrzywione kurczowo palce wpijają się w fałdy czarnej spódnicy.

— Co pani jest? — szepcze po raz drugi wylękała doktorowa, wstając z krzesła.

Pani Halina znowu porusza kilkakrotnie ustami; jakiś spazm wstrząsa jej piersi; wypreża się, jak przeciągnięta struna, i wkońcu gdzieś z dna duszy wydobywa ni to szept, ni to jęk: — „Nic“.

Pani Halina zostaje przylepiona do ściany w poprzedniej pozycji, w takim jakimś bolesnem natężeniu wszystkich swych zmysłów, że nietylko czuje każde tętno szarpiącego się w niej serca, każde cierpiące włókno swych nerwów, ale najlżejszy szmer odbija się zdwojonem echem w jej istocie. Słyszy, jak ogarek, syknawszy, zgasł.—Kroki, spuszczonej się po schodach, doktorowej wydają jej się niezwykłym łoskotem, a głosy, które właśnie nadole zaczynają śpiewać kolendę, biją w nią, jak grom.

„Bóg się rodzi, moc truchleje!“

Ogromny dźwięk wstrząsa nią całą. I jednocześnie zrywają się w niej dwie myśli: że jest jakaś moc, która nie truchleje, choć Bóg się rodzi, a potem zapytanie: gdzie ten Bóg? Gdzie On? — A pani Halina pyta w sposób tak okropny, tak niecierpiący zwłoki w odpowiedzi, że nie słysząc jej znikąd, poprostu obłąkana z bólesci, w śmiertelnym dreszczu zbliża się nagle w stronę obrazu i dmucha na lampkę, usiłując zgasić to samo światło, które dziś z taką wiarą sama wznieciła. Płomyk się silnie zachwiał, choć nie zgasł— a jeszcze się silniej zachwiała pani Halina. Kredowo blada, z oczyma, wysadzonemi z orbit, za-

częła bić rękami powietrze, wśród gwałtownych oddechów zakręciła się na jednym miejscu, chwyciła się oburącz za lewą pierś i runęła nawznak.

„Pan niebiosów obnażony!

„Ogleń krzepnie, blask ciemnieje...”

Wyleciała nowa strofa—wpadła do jej pokoju i cofnęła się nagle, jakby wylękała.

Pani Halina krzepła...

Tymczasem płomyk w różowej lampce palił się już silniej, choć drżał jeszcze, a w migotliwym jego świetle ciemna twarz Matki Boskiej wyglądała niezwykle: zdawało się, że dwa cięcia miecza na policzkach nabrzmiały krwią, słodkie zaś, smutne jej oczy obróciły się wdół na podłogę, gdzie w srebrnej aureoli włosów bielą twarz kobieca, cicha, jak zdeptany kwiat, i prawie nie straszna, gdyby nie szkliste oczy, w których leżała pustka ogromna i wielkie przerażenie.

„Ma granice Nieskończony!”

Grzmiał dalek chór i urwał nagle, jakby poczuł że gdzieś w pobliżu krąży śmierć. Stało się cicho bardzo, a była to chwila uroczysta i niezwykła; bo właśnie trzy dość dziwne rzeczy leciały nad ziemią: silna pieśń, smutna dusza i wielka boleść, która tę duszę z serca wydarła; i może być, że w jakimś punkcie globu miał się urodzić poeta i odbywało się nowe wcielenie: duszy — w ciało, pieśni — w duszę, boleści — w pieśń

NEGO

Nad Inowrocławiem wisiała księżycowa noc sierpniowa, jedna z tych nocy, co chociaż jasne, mają tyle smutku i melancholji, że psy spać nie chcą — i wyją przeciągle. Ludzie tak nie czynią, może jedynie dlatego, że pies, gdy mu się wyć chce, siada sobie na środku gościńca i podniósłszy pysk ku tarczy księżyca, jęczy całą siłą nieskrępowanego obrozą gardła, nie dbając o to, co o nim sąsiad Kurta pomyśli. Człowiek w takich razach ostrożniejszy: gdy płacze, to i wtenczas nie omieszka patrzeć przez łzy, jakie to sprawia na innych wrażenie i czy mu z tem do twarzy.

A że w miastach główną część mieszkańców stanowią ludzie, mniej zaś liczne i szanujące się psy miejskie są znacznie lepiej wytresowane od swych kudłatych wiejskich współbraci — nic więc nie mąciło spokoju nocy, która, zbryzgana gwiazdami, zamyśliła się nad czemś głęboko.

Z szeregu domów, patrzących w ulicę ciemne-

mi oknami, wyróżniał się jeden tem, że był niższy od innych i że w trzech oknach miał światło.

Za te trzy okna, małą kuchenkę i pokój, przedzielony drewnianem przepierzeniem, pani Marja płaciła piętnaście rubli miesięcznie, co stanowiło prawie trzecią część całego zarobku, „wybębnionego z fortepianu“, jak się wyraziła złośliwie jej ciotka.

Złośliwość ta pochodziła ze zbytku życzliwości, która nie pozwalała ciotce darować siostrzenicy tego, iż przed trzynastu laty, wbrew jej radom, utalentowana Marynia zrobiła kapitalne głupstwo, a nawet dwa, mianowicie: dała odkosza wcale jeszcze czerstwemu właścicielowi kamieniczki i sklepu w pysznym punkcie, kochającemu ją do tego stopnia, że mimo silnego wstrętu do wszelkiego rodzaju wydatków, zdobył się na kupienie adamszkowych mebli i wytapetował już wszystkie pokoje na przyjęcie swej przyszłej...

„Przyszła“ jednak nie przyszła; natomiast oddała swą drobną rączkę świeżo patentowanemu prawnikowi, który był goły, jak bizun: ślub brał w turku! Mówiono o nim, co prawda, że bardzo zdolny i wydał już książkę, która mu rokuje świetną przyszłość.

Ciotka twierdziła, że to faramuszk. I jak przepowiedziała, tak się stało.

W trzy lata niespełna Jan Skalski pokazał, co umiał: zachorował i umarł. Świetną przyszłość djabli wzięli; odwieziono ją wraz ze zdolnościami,

wieńcem i drewnianą trumną na cmentarz, a pani Marja została nie sama, oczywiście: z małym Jasiem i z nędzą.

Na tem jeszcze nie koniec. Kiedy w pół roku później ciotka przybyła do niej w delikatnej misji, że jej dawny wielbiciel gotów jest nawet teraz... chociaż już nowych mebli nie sprawi, ale te dawniejsze są jeszcze wcale świeże... pani Marja mówić dalej ciotce nie dała, stanowczo, z pewnem rozdrażnieniem poprosiła, by jej dał spokój. Ona niczego nie chce; ma lekcje muzyki: to na jej życie i dziecka zupełnie wystarcza... a marzy tylko, aby na grobie męża krzyż, choć drewniany, postawić mogła... Tu rozplakała się na dobre.

Tego już było nadto; oburzona tą niewdzięcznością ciotka, zerwała wszelkie stosunki z upartą siostrzenicą.

Kiedy potem, w parę miesięcy, spotkały się w dzień zaduszny na cmentarzu, możeby tutaj przyszło do zgody, gdyby nie to, że pani Marja nie dostrzegła swej życzliwej opiekunki, bo właśnie w tej chwili obcierała swe wielkie oczy, pełne łez, i coś szeptała Jasiowi, wskazując mu przykrytą darnią i kwiatami mogiłę i prosty, smutny nad nią krzyż.

— Głupia jest i będzie!—zawyrokowała po raz setny ciotka i poszła dalej oglądać inne groby.

Nietylko ten fakt świadczył o naiwności czy też dziwactwie pani Marji, lecz i wiele innych. Życie jej, na przykład, było w gruncie rzeczy dość

ciężkie: schody—godzina bębnienia... schody—godzina bębnienia... czy mróz, czy ślota—wiecznie to samo — od rana do zmroku: a mimo to, pani Marja była prawie zawsze wesołą i gdy figlowała wieczorem z Jasiem, to śmiała się niemniej serdecznie od syna.

Nie dowodzi to jednak, by nie odczuwała strapienia i trosk; była tylko pod pewnym względem egoistką: smutek i łzy chowała dla siebie—ludziom dawała dobroć i śmiech.

Miała jej to za złe już nietylko ciotka, ale i reszta dalszych krewnych i bliższych znajomych, którzy ją tłumnie jeli odwiedzać po śmierci męża, sądząc, że przecież mają chyba prawo popatrzeć, jak płacze. Kiedy zaś wdowa przyjmowała ich życzliwie, z twarzą, co prawda, smutną, ale suchemi oczyma, kiedy się przytem przekonano, że płacze jednak ukradkiem, zrażono się tą nieszczerością i odsunięto się od niej powoli. Jedną tylko zaletę przyznawali jej niektórzy — praktyczność.

Pomimo szczupłych dochodów, pani Marja miała gustowne mebelki, do których raz wraz coś przybywało; w ciągu lat kilku zdobyła się na kupienie pianina, sama ubierała się ładnie, a już co Jasiowi—to nie zbywało na niczem.

— Skąd ona bierze na to wszystko? — postawiono raz takie pytanie na jednej z tradycyjnych czwartkowych herbatek u cioci.

Pytanie to nie otrzymało narazie stanowczej odpowiedzi; wywołało natomiast ożywione debaty,

w trakcie których podstarzała dewotka, spuszcza-
jąc skromnie oczy, wtrącała:

— W tem coś jest...

Na co okazała aptekarzowa zprzeciwka dała do zrozumienia, że gdyby nie to, iż nienawidzi plotek, mogłaby wiele powiedzieć, przyczem zwróciła się do swej córki ze słodkimi słowami:

— Wyjdź, Zosiu, obejrzyj album.

Skoro Zosia wyszła, przyczem za nią wysunął się chyłkiem student, wcale nie platoniczny amator jej masywnych kształtów, okazało się, że właściwie z punktu widzenia dziewiczej skromności nie miała poco wychodzić, gdyż poszlaki pani aptekarzowej, jakkolwiek dawały dużo do myślenia, były jeszcze jednak zbyt kruche. Postanowiono więc rzecz zbadać dokładniej.

W ten sposób nad panią Marją utworzono rodzaj tajnego nadzoru. Nadzór ten nie był bezowocnym. Nie znaleziono wprawdzie tego, czego szukano, i Zosia nie potrzebowała już oglądać albumu, gdy rozmawiano o pani Marji; dowiedziało się zato wielu innych drobnych szczegółów cichego jej życia: mianowicie, że Jasia przygotowała do gimnazjum sama matka i teraz mu również pomaga, uczy się nawet w tym celu łaciny; przytem nie robi tego jedynie przez oszczędność, ale widzi w tem rozkosz ogromną, że może synowi swemu pomagać i wraz z nim pracować; prócz tego, cały jej system wychowawczy jest niezwykle dziwny: czuje się w obowiązku tłumaczyć

przed smarkaczem w każdym przypadku, gdy on tego zażąda, a nawet wtenczas, gdy go łaje... jeżeli tylko można nazwać łajaniem takie zdania: „złeś zrobił, mój synu“ lub „ojciec twój zmartwiłby się twoim postępkiem, drogie dziecko“.

Pani Marja, dzięki swej szczupłości, wydawała się nad wiek młodą i nieraz, kiedy wracała wieczorem ze swych lekcyj, zaróżowiona od szybkiego biegu, ludzie się oglądali, szepcząc:—„Jakaż to ładna panienka!“—choć w gruncie rzeczy pani Marja nie była wcale piękną, była tylko uroczą. Gdyby jej twarz zastygła odrobić w gipsie, maska taka wydałaby się raczej brzydka, gdyż drobne, nieregularne rysy pani Marji nie były bynajmniej podstawą jej urody. Były one raczej delikatną kanwą, na której uczucia tkwały deseń wyrazu, tłem duszy, która wprost przeświecała przez jej pleć matową, jak promień świtu przez mgły. To też twarz pani Marji odznaczała się tak ruchliwą zmiennością, że niepodobna było zrazu określić tych stałych pierwiastków, któreby pozwalały ją od innych odróżniać i zapamiętać na zawsze. Były niemi najprawdopodobniej bujne blond włosy, złotopopielate na skrętach, wielkie, głębokie, aksamitne oczy i ten subtelny ton dziwnej melancholji i zmęczenia, który towarzyszył tej twarzy stale i nie mógł się roztopić do szczętu w najserdeczniejszym uśmiechu jej ust różowych. Niekiedy, jak na przykład, w tę noc sierpniową, wyraz ten występuje tak silnie, że patrząc

na jej głowę, wspartą na drobnych dłoniach, ma się na ustach określenie: „kwiat cmentarny“.

Co dziwniejsza, że coś podobnego daje się zauważyć w dziecinnej twarzy Jasia, który kiwając się na krześle, powtarza z przymkniętymi oczyma: *alauda*—skowronek, *ancilla*—służąca, *aquila*—orzeł, *ars*—sztuka... choć, biorąc naogół, nie przypomina on niczem matki, jest zato, jak dwie krople wody, podobny do wiszącego nad biurkiem kredkowego portretu.

Są ludzie, którzy twierdzą, że człowiek robi, co chce; a jednak, gdyby przed wiekami gęsi nie zagęstały były tak nie w porę i nie ocaliły Rzymu, dziś Jaś możeby nie kuł, pomimo spóźnionej godziny, mowy Cezarów, a pani Marji nie dręczyłoby pytanie: czy jej syn zda jutro? Takie refleksje prawdopodobnie cisnęły się do głowy, choć pełno w niej było smutku i niepokoju, a chaotyczne myśli błąkały się bez celu, jak rozbite stado młodych nurków, gdy je na środku jeziora strzał myśliwego rozproszy.

Ponieważ w jutrze malowała się niepewność i lęk o los syna—dusza pani Marji odwracała się do przeszłości i tonęła we wspomnieniach. Więc majaczyło przed nią to życie krótkie we dwoje, ubogie, ciche, lecz słodkie, pełne szczęścia i myśli szerokich, które mąż rozsnuwał przed nią, a ona chłonęła chciwie, pojmując je nietyle przez rozum, ile przez miłość i intuicję bogatej swej duszy.

A potem zrywał się nieukoiony żal, że to mi-

nęło bezpowrotnie. Gwałtowny paroksyzm palącej tęsknoty zmienił się wkońcu w pogńębienie, przeczucie słabości i osamotnienia. Kiedy zaś budził ją z odrętwienia mniej monotonnie wymówiony wyraz uczącego się Jasia, to znów serce jej się ścisnęło na myśl o tem, iż ten słabowity chłopiec jeszcze nie śpi, ślęcząc nad długim szeregiem trudnych słów; jednocześnie w jej piersi wszczyniała się walka rozumu z uczuciem, która rodziła w niej szaloną chęć zapędzić syna do spania, a nienawistną gramatykę, co kradnie im spokój i sen, wyrzucić za okno... Nie pierwszą taką walkę stacza z sobą pani Marja i nie ostatnią, a ciężkie to prawdziwie boje, bo z jednej strony, ta matka ma wiele życiowego rozsądku, a z drugiej—kocha jednaka bez granic—kocha go za jego śmiech szczery, za ból, w którym go urodziła, za wesele i troski, których jej przyczynia—za wszystko, a najwięcej prawdopodobnie za to, że jest jej synem.

Tym razem walka kończy się w ten sposób, iż pani Marja podchodzi do Jasia, wysuwa mu z pod ręki książkę i mówi:

— No, dosyć tego, mój chłopczel! idź spać, abys miał jutro świeżą głowę.

— W tej chwili, mamó—odpowiada chłopak.—Ja przejrzę tłumaczenie, a mama niech znajdzie to słówko, co to mama wie...

Co rzekłszy, zaczyna szukać kajetu, a pani Marja wyjmując grubą książkę i grzebie w niej

cienkimi palcami. Skoro słówko zostało odnalezione, po krótkiej sprzeczce o to, które znaczenie z licznych synonimów wybrać, chłopak zaczyna się w milczeniu szybko rozbierać i przy zdejmowaniu skarpetek zwraca się nagle do matki i pyta figlarnie:

— A umie już mama te przyimki wierszami?

Jest to słaba strona pani Marji—i Jaś lubi kompromitować w ten sposób znajomość klasycyzmu swej matki.

Pani Marja uśmiecha się dobrotliwie i recytuje:

— *Ante, apud, ad, adversus, circum, circa, citra, cis, contra, infra*... — tu się zacina.

— *Extra*, mamusiul! — podchwytuje uradowany chłopak—wszak to tak łatwo zapamiętać: tak się przecie gra w piłkę nazywał!

Tu Jaś, zwinąwszy skarpetkę w kłębek, zaczyna wtajemniczać matkę we wszystkie *arcana* tej gry cudownej.

W innych razach podobne rozmowy z dziecinny życia szkolnego wywoływały śmiechy i gorące sprzeczki stron obu, gdyż pani Marja interesowała się żywo wszelkimi objawami życia uczniowskiego; znała ich żargon i wszystkie techniczne wyrażenia, a nawet w szerszych kołach malców zdobyła sobie uznanie za doskonałe szycie tak zwanych „piłek robionych“. Dziś jednak, wobec widma egzaminu, chłopak nie miał swej zwykłej werwy, a matka tem bardziej.

To też wkrótce Jaś umilkł i uściskałszy ostat-

ni raz matkę, wsunął się pod kołdrę, a pani Marja, po zgaszeniu lampy, z westchnieniem przeszła za przepierzenie do swego pokoju i położywszy się w ubraniu na szezlongu, myślała o rozmaitych rzeczach dopóła w noc.

Nazajutrz z rana, z książkami pod pachą i wypchaną śniadaniem kieszenia, Jaś pędził, szybciej niż zwykle, do szkoły. Na rogu, niedaleko gimnazjum, połączył się z dwoma towarzyszami niedoli: Stasiem Krzyckim i Antkiem Sikorą. Tu Antek, posiadacz cennego talentu odgadywania postawionego stopnia z ruchu ręki profesora, pokazał im świeżo wygotowaną w mleku lanekę, zrobioną ze starego kalosza, jedyną do palanta. Przyczem wygłosił niepozbowione prawdy zdanie, że lepiej się obciąć odrazu, niż mieć poprawkę, która zatruwa całe wakacje.

— Tak!—mówił—przynajmniej raz sprawią ci łaźnię i masz już święty spokój; a z tą przekłętą „dryndą“, to ci co chwila nietylko rodzice, ale każda siostra i ciotka brzęczy nad uchem: ucz się a ucz się! Dokazuj, dokazuj! zerzniesz się zato, jak baran!

— Kto wie, czy to proroctwo się nie spełni?
— wtrąca flegmatycznie Staś, pieścioch bogatych rodziców, choć w gruncie rzeczy zgadza się w tym względzie z kolegą, dla innych tylko powodów: z natury jest wrogiem wszelkich niewyraźnych sytuacji.

Jeden Jaś milczy; jest on drugorocznym, dla

niego poprawka staje się hamletowskimi pytaniem: być albo nie być w gimnazjum? Co prawda, niezupełnie dokładnie zdaje on sobie sprawę z konieczności figurowania na liście rzeczywistych członków klasy trzeciej, a jednak pragnie zdać koniecznie. To też w miarę zbliżania się do gmachu szkolnego, ogarnia go niezwykle rozdrażnienie, niecierpliwość i lęk. Pragnienie to nietylko jest skutkiem jego miłości synowskiej i chęci oszczędzenia matce zmarwień i łez: gra tu również wielką rolę wrodzona, odziedziczona po ojcu zaciętość w zwalczaniu przeszkód, zaciętość, podsycana dziecinny mniemaniem, iż powodzenie jego będzie źródłem przykrości dla profesora łaciny, który mu za egzaminacyjne *extemporale* postawił dwójkę i w którym widzi swego prześladowcę.

Jaś nienawidzi „Orła“ (tak przezywano profesora łaciny) całą potęgą swej dziecinnej, nadmiernej wrażliwej duszy. On go zostawił na drugi rok w klasie, pomimo to, iż z reszty przedmiotów miał dobre stopnie. W następnym roku usilną pracą swoją i matki zdobywał przez cały rok za ledwie trójki, choć umiał gramatykę na wyrywki, a wszystkie wyjątki—jak pacierz. On również obciął go na egzaminie i dał mu poprawkę, choć mógł go i tak puścić.

— On mnie nie lubi, mamó — skarżył się Jaś nieraz pani Marji po każdej otrzymanej trójce, a jednocześnie w młodej piersi chłopca przewra-

cała się głucha wściekłość i usta kurczyły się zacięcie.

— On cię nie lubi—powtarzali mu nieraz koledzy.

To też, kiedy byli na schodach, Antek wzdychał głośno:

— Ach, żeby tylko „Orła“ nie było!

Jaś szepcze w duchu:

— Boże, niech będzie! — gdyż czuje, że umie dobrze, spodziewa się, że mu zaimponuje, że go pogiębi swą erudycją, że dzień dzisiejszy będzie dniem jego odwetu.

Na schodach i korytarzach gmachu dnia tego rojno niezwykle; nietylko pełno malców, ale i starszych mężczyzn, i kobiet: to rodzice prowadzą nowozaciężnych rycerzy. Dawniejsi uczniowie z pewnem lekceważeniem spoglądają na swych nieumundurowanych towarzyszy, jak stara gwardja — na świeżych rekrutów.

Wewnątrz gmachu zmian nie widać żadnych: te same szare ściany z ciemnym lampasem u dołu, ten sam zegar, a pod zegarem stary stróż stoi w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiono na początku lata. Podłogi tylko bielsze, a twarze malców ciemniejsze, zapalone słońcem i wsią. Antek swą groźną miną i „sójkami“ wstępniaków teroryzuje, torując w ten sposób towarzyszom drogę do klasy. W klasie spotykają się z resztą kolegów, niższych i wyższych, którzy dnia tego również mają poprawki. Dziś nie tak tu gwarno,

jak zwykle. Nad salą unosi się widmo egzaminu, a wielki, pokryty zielonem suknem stół wygląda dziwnie złowrogo i odejmuje doreszty humory; ta ostentacja nie wróży nic dobrego.

Jeden Antek nie traci otuchy i zaczyna wyprowadzać rodowód sukna wprost od spódnicy dyrektorowej; zaledwie kilka bladych uśmiechów odpowiada na ten dowcip, bo oto słychać na korytarzu ciężkie, dobrze znane kroki: malcy więc pierzchają i przysiadują na ławkach, jak stado wylekłych kuropatw, gdy zoczy jastrzębia. Drzwi się otwierają i ukazuje się w poplamionym fraku filolog—„Orzeł“.

Przezwiseka malców bywają niezwykle trafne. Ten „Orzeł“ jednak—parafraza nazwiska—nie udał im się stanowczo. Ten człowiek nie ma bowiem nic orlego wogóle, nic nawet z ptaka, którego specyficzną cechą jest lotność. Przeciwnie, robi on wrażenie źle ociosanego, na podobieństwo człowieka-pnia, owiniętego w luźne płachty sukna. Z długich rąk, o dłoniach wielkich, jak patelnie, z niezwyklej grubości kolan podobny jest do chodzącego na dwóch łapach niedźwiedzia. Niezgrabnością ruchów i obwisłą odzieżą przypomina hipopotama lub wogóle którego z gruboskórnych, jedne tylko małeńkie latające oczy stanowią pewną dysharmonję z całą tą ociężałą postacią, która, jak również szeroka, płaska twarz, jest wier-nem odbiciem jego duszy—w której niema żadnej lotności, żadnych głębin, a której szerokość wy-

raża się w niezwyklej rozciągłości psychicznej — pozwalają „Orłowi“ godzić w siebie wszystko: zachwycać się republiką grecką, chwalić trybunów i czcić oligarchów; uchodzić u siebie w domu za demokratę, liberała — a dusić w uczniach wszelką samodzielność.

Malcy go niecierpią, gdyż, pomijając srogość, jest on nieznośnym dla nich typem nauczyciela-ojca, który na tej zasadzie uważa za stosowne i konieczne rewidować wnętrza tornistrów i — dusz swoich pupilów.

„Orzeł“ wywdzięcza się pięknem za nadobne: nie lubi malców szczerze, choć prawdopodobnie, równie jak oni, nie umiałby umotywować dokładnie tego uczucia. Uczniowie go wprost rażą; rażą go uduchowioną, nerwową twarzą, przejawami swej żywotności; rażą starannym ubiorem, białymi gorsami, kołnierzykami — wszystkim. Dlatego zapewne „Orzeł“ niecierpi Jasia, gdyż jest on najbardziej charakterystycznym typem z całej klasy. Biała, delikatna cera, drobne niebieskie żyłki na skroniach, nieokreślona, melancholijna duma, rozlana w rysach, wielkie, jakby zmęczone oczy, wykwintne ubranie, jasne siaki — wszystko to, co czyni tego malca żywym rysunkiem Grottgera — to właśnie nie podoba się gruboskórnej naturze profesora i budzi w nim żywiołową niechęć.

Przytem obie strony doskonale wiedzą o swych antypatjach: nic więc dziwnego, że najsprawiedliwsza nawet dwójka wywołuje w uczniach po-

czucie krzywdy, a z drugiej strony, każde najzwyczajniejsze zajście, najprostsze, naiwne zapytanie lub odpowiedź przedstawia się podejrzliwemu profesorowi, jako objaw złośliwości lub oporu. Stąd między klasą a nauczycielem trwa cicha, lecz nieustanna walka. Po jego stronie jest władza, wyrażająca się w postaci dwójek i kozy; bronią zaś dzieci są pogardliwe miny, drwiące uśmiechy, ciche szepty, wymowne spojrzenia i tysiące tym podobnych drobnych oznak lekceważenia i nienawiści, których niepodobna ukrócić paragrafem przepisów szkolnych, bo są nieuchwytne, ale za to tem dotkliwiej drażniące.

Dzisiejszy humor pana profesora trudno nazwać złotym. Po długich wakacjach znów jest zmuszony stanąć przed klasą, od której odwykł, więc go tem silniej razi. Chmurny, w milczeniu siada na katedrze i rzuca krótki rozkaz:

— Modlitwa!

Jeden z cienkich głosów zaczyna szybko recytować słowa pacierza, a Antek tymczasem szepcze do Jasia:

— Zły, bestja!

Zaledwie przebrzmiało „amen“, rozlega się znowu komenda:

— Na środek!

Pierwszy wychodzi Staś Krzycki; wygląda dość spokojnie i tylko w lekkim drzeniu trzymanej w ręku książki objawia się tajone wzruszenie.

— Jedenaście!

— *Undecim!*—odpowiada, jak echo, uczeń.

— Dalej!

— *Duodecim, tredecim, quatuordecim!*...—liczy, jak nakręcona maszynka, Staś.

— Dwudziesty szósty paragraf tłumaczyć.

Zaczyna się tłumaczenie, które idzie bardzo kulawo, choć Staś właściwie rozumie znaczenie zdań, nie może tylko znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia swych myśli.

Sytuacja zaczyna się szybko wyjaśniać. *Plusquam perfectum* od słowa „sto” dobija Stacha. Rozlega się sakramentalne słowo „Orla”:

— Dosyć!

Uczeń zwolna odchodzi na miejsce, profesor bierze pióro, którego ruchy badawczo śledzi Antek.

Po chwili pokazuje on Stachowi dwa powalane atramentem palce.

— Czy tak? — szepcze zgnębionym głosem Stach.

— Na pewniaka!—odpowiada z silnem przekonaniem Antek — dwója, jak drut!

Początek egzaminu sprawia fatalne wrażenie; strwożeni uczniowie oglądają się jeden na drugiego i środek klasy, pomimo dwukrotnie powtórzonej komendy, pozostaje pustym.

— No, któryż tam?!—po raz trzeci odzywa się rozdrażniony filolog.

Wtenczas to wysuwa się Antek i jakkolwiek jest nadzwyczaj słabo przygotowany, idzie śmiało

i pewnie. To jego zwykły system, zdobyty nie tyle rozumowaniem, ile długoletnią praktyką. I rzeczywiście, ten sprytny chłopak wie dobrze, co robi, gdyż na dziesięciu profesorów dziewięciu po postawionej dwójce chętniej szafuje trójkami.

Wielu jest nawet takich, którzy w stawianiu swych stopni rządzą się głównie pewną symetrią cyfr na papierze, którąby można nazwać przeplataną. Prócz tego, wystąpienie Antka w tak krytycznej chwili każe przypuszczać niezwykłą pewność siebie, opartą na dokładnej znajomości przedmiotu. Cała dalsza taktyka jego jest również konsekwentną i niezwykle dowcipną. Czyta szybko i głośno, prawie krzyczy. Odpowiada zato powoli, patrząc badawczo w oczy „Orla” i przy najmniejszej oznace niezadowolenia gotów jest poprawić się; to też co chwila powtarza — „To jest—nie tak, omyliłem się”—robiąc przytem uśmiechniętą minę, jakby się dziwił swemu roztargnieniu.

W ten sposób odpowiedzi ciągną się długo i profesorowi zdaje się, że zadał masę pytań, chociaż w istocie było ich bardzo niewiele. Prócz tego, Antek swem zachowaniem się, wycieraniem nosa, prośbami o powtórzenie zapytania, krzykiem męczy wprost „Orla”, choć sam również okrywa się kroplami potu.

W rezultacie cała ta manipulacja wywołuje w świadomości profesora olbrzymi chaos, wskutek czego nie jest on w stanie zdać sobie dokładnie sprawy ze stopnia umiejętności ucznia; że jed-

nak jest zmęczony, odsyła go na miejsce i stawia mu trójkę.

Kuty zaś Antek do ostatniej chwili gra znakomicie komedję i jeszcze na odchodnym robi niezadowoloną minę, jakby się lepszego stopnia spodziewał, choć drży z radości. Dopiero usiadłszy na miejscu, szepcze sąsiadom, wyczerpany walką, lecz dumny ze zwycięstwa:

— Wykpiłem się!

Egzamin ciągnie się dalej i podczas gdy jedni zdają, reszta zachowuje się bardzo rozmaicie. Jedni gorączkowo przerzucają książki i kajety, powtarzając gramatykę i słówka; inni się kręcą niespokojnie na swych miejscach, jakgdyby kluci szpilkami; inni znów nieruchomie patrzą w przestrzeń, jak senni; na twarzach wszystkich znać niezwykle natężenie nerwów.

Jaś należy do rzędu niespokojnych i niezdeterminowanych; kilka razy postanawiał już wyjść, ale napróżno. Wkońcu zdobywa się na bohaterski wysiłek i staje przed katedrą. Twarz jego na chwilę robi się błądą, jak papier, a oczy przybierają charakterystyczny wyraz przerażenia, jaki się zdarza spostrzegać u ludzi, rzuconych nagle w zimną kąpiel. Jest to znana uczniom chwila, kiedy myśli nagle gdzieś pierzchają i ma się wrażenie, że się nic a nic nie umie i nic nie pamięta.

Po chwili jednak Jaś przychodzi do siebie i zaczyna odpowiadać zrazu stłumionym głosem, który

wkrótce nabiera silniejszego dźwięku, a cera — żywszych kolorów.

Odpowiada naogół dobrze; przebrnął już szczęśliwie przez *supina* i *gerundia*, nie dał się złapać na *futurum* od czasownika *eo*; zabiera się wkońcu do tłumaczenia. Tu jednak pierwsze zdanie zaczyna się od słowa *nego*. Jaś zamyśla się na chwilę i gorączkowo grzebie w pamięci — napróżno jednak. Antek na jego miejscu jużby dziesięć znaczeń przypisał temu słowu i jakośby się wykręcił. Jaś prawdopodobnie chciałby toż samo uczynić, ale wychowany w szczerzej atmosferze domowej, wprost nie umie kręcić i kłamać świadomie: milczy więc chwilę, a wkońcu na natarczywe naleganie „Orla“:

— No, jakże?!

Odpowiada:

— Nie wiem.

W tonie tej odpowiedzi przebija lekkie rozdrażnienie, wywołane ogólnym podniecenym stanem chłopaka. Rzecz ta jednak w innym świetle przedstawia się profesorowi: to „nie wiem“ wydaje mu się objawem pewnego lekceważenia ze strony Jasia; porusza się więc niecierpliwie na krześle; po małych oczkach przelatuje mu płowy blask; wnet się jednak hamuje, a siląc się na spokój, pyta:

— Jakaż to część mowy?!

Jaś mógłby zrobić zupełnie słuszny zarzut, iż nie znając znaczenia, trudno jest odpowiedzieć

na takie pytanie; nie jest jednak o tyle filozofem. Natomiast w dzieciennym mózgu odbywa się mniej więcej następująca, pracowita i dość złożona, kombinacja: *ego* znaczy „ja”; *nego* zapewne jest czemś podobnem, jakby „nie-ja”. W rezultacie zalicza on ten czasownik do rzędu zaimków, nie podejrzewając zgola, iż z jego przyczyny Cycero wraz z Liwuszem jęknęli w głębiach swoich sarkofagów.

— Ha, to odmieniaj! — drwi dalej profesor.

Jaś jest konsekwentny, więc z najlepszą miną zaczyna recytować:

— *Nego, nei, nihi, ne i nel...*

Tu już mało wrażliwy, ale klasyczny duch filologa zaczyna kipieć świętem oburzeniem:

— Teraz dość! — rzuca przez zęby.

Jaś cofa się na miejsce, a „Orzeł”, schwyciwszy pióro, wykonywa niem szybki i krótki ruch.

— Ile? — pyta Jaś Antka.

Ten ostatni jednak jest zbity z tropu. Kolega, jego zdaniem, odpowiadał bardzo dobrze, trudno więc przypuścić, aby dostał pałkę; cóż więc innego mógł dostać?

— Chyba cztery! — szepcze.

Niezdedykowana odpowiedź Antka, dziwne zachowanie się profesora — wszystko budzi niepewność i obawę w drobnej piersi Jasia. Ponieważ jednak stopnie gimnazjalne są otaczane do czasu wielką tajemniczością (dlaczego? — to również tajemnica pedagogiki), Jaś musi do końca egzaminu

pozostawać w wysoce rozdrażniającym stanie oczekiwania.

Około czwartej egzamin się kończy, malcy wychodzą, a profesor pozostaje w klasie, by stopnie przepisać na czysto i ostatecznie na coś się zdecydować.

Na korytarzach pusto i cicho; mała gromadka oczekujących chłopców nie zdoła już ożywić szarych murów; nadto są oni zmęczeni. Gorączkowy stan podniecenia minął; natomiast zaczyna się odzywać głód i znużenie. Jedni wydobywają z kieszeni śniadanie; inni jeść jeszcze nie mogą, więc siadają na tornistrach, aby w ten sposób odpocząć. Wszyscy odczuwają lekki ból w skroniach i kłucie w oczach.

Nagle, wyglądający przez dziurkę od klucza, Antek woła:

— Idzie!

Cała gromadka zrywa się na nogi i skupia około drzwi. Wychodzi „Orzeł”.

— Stopnie! stopnie! — wołają malcy chórem.

„Orzeł” wydobywa kartkę i wśród ciszy grobowej czyta kolejno nazwiska, wynieniając przy każdym odpowiedni stopień.

Jaś jest naostatku. W miarę czytania jedne twarze rozwidniają się uśmiechem, inne — przeciągają się smutnie.

— Sikora trzy, Skalski pałka — kończy profesor.

Ostatni stopień sprawia niezwykle wrażenie; robi się pewien ruch wśród uczniów, potem znów

cisza i nagle rozlega się okrzyk, w którym brzmi skarga, rozpacz i protest.

— Za co?

Jęk taki wydobywa się z bladych ust Jasia.

Uszy profesora, nader wrażliwe na protest, rozróżniają tylko ten ton w okrzyku chłopca. Twarz „Orla” przybiera wyraz dziwnie drapieżny; płowy błysk zapala się w jego oku, a z wąskich ust lecą chrapliwe wyrazy:

— Jeszcze pytasz za co? — Jak śmiesz!... Ja ci... — Tu urywa i zatapia swe świdrowate oczy w bladą twarz Jasia.

Nastaje chwila ogromnej ciszy, tak, że słysząc przyspieszone oddechy drobnych piersi, natężone tętna pulsujących skroni i ciężkie sapanie „Orla”, którego wzrok spotyka się z rozpalonemi oczyma nie tylko Jasia, ale i reszty malców, oburzonych do głębi tym stopniem.

Po krótkiej chwili tej walki spojrzeń filolog opuszcza oczy i cedzi zdanie, pełne zgryźliwości i jadu:

— Prawda! tyś drugoroczny: nie jesteś więc już uczniem...

To rzekłszy, odwraca się i oddala powoli, stukając w podłogę obcasami.

— Bydlę! — leci wślad za nim kilka stłumionych szeptów, poczem gromadka zabiera się w milczeniu do odejścia.

Pierwszy, chwytając się poręczy, spuszcza się po schodach Jaś, a koledzy odprowadzają go spoj-

rzeniami, pełnemi współczucia i szacunku, jak żołnierze—towarzysza, który w zaciętym boju otrzymał śmiertelny postrzał.

Jaś rzeczywiście czyni wrażenie rannego: idzie, staniając się, blady, jak trup, a w piersi czuje ołowiany, niedziecięcy ciężar splecionych uczuć, wśród których góruje palące poczucie krzywdy, tem żywsze i silniejsze, że zrodzone w świeżej duszy dziecka, którego życie jeszcze nie zdążyło przyzwyczaić do tego, by być krzywdzonym i krzywdzić innych.

Pani Marja, powróciwszy ze swych lekcyj, od godziny oczekiwała z niecierpliwością syna, biegając od okna do okna. Z małej kuchenki wraz z parą i odorem potraw dolatywało gderanie starej Janowej:

— Ach! ten panicz się spóźnia! Wszystko wystygnie, a pieczeń wyschnie na skórę!

— Rzeczywiście! Co to jest, że go jeszcze nie ma? — szepcze pani Marja i dla zabicia czasu zaczyna wybierać na fortepianie jakąś trudną melodję.

Po chwili rzuca tę pracę, biegnie ku oknu i patrzy pilnie w ulicę, czy nie dojrzy granatowej czapki: napróżno! Wraca z westchnieniem napowrót, przewraca odwieczne album, to znów porządkuje graciki na biurku.

Wtem rozlega się cichy brzęk dzwonka. Pani Marja zrywa się z krzesła i z okrzykiem radosnym — „Jaś!” — otwierając drzwi, rzuca pytanie:

— No, cóż tam, chłopcze?

Błada twarz Jasia, wcięte usta i podsiniałe oczy są nadto wymowną odpowiedzią.

Pani Marja staje się niemniej bladą od syna, cofa się kilka kroków w głąb pokoju, stoi przez chwilę, jak posąg zastygły, potem podnosi swe drżące ręce ku skroniom i z glychym jękiem: — „Boże! ach, Boże!” — usuwa się na krzesło.

Jaś staje w kącie i spogląda zpośrodku na matkę, z twarzą zaciętą i suchymi oczyma. Tymczasem wchodzi Janowa, niosąc nakrycie i dymiącą wazę rosółu, spostrzega całą tę scenę: zostawia więc w milczeniu wszystko na stole i mruczy, wychodząc:

— Jest! znowu pasztet!

— Ileż dostałeś? — pyta wkońcu pani Marja złamanym głosem, w którym drżą tłumione łzy.

— Palkę — odpowiada sucho Jaś.

— Za co? bój się Boga! — woła pani Marja tonem wyrzutu i żalu.

— Niech się mama ich spyta! — brzmi ostra odpowiedź.

Pani Marja, jakby ukluta, wstaje nagle z krzesła i mrugając z przerażenia oczyma, patrzy długo w twarz chłopca, a potem szepcze zgnębiona:

— Co to jest, Jasiu!... Jak ty mówisz do mnie?...

Jaś spuszcza oczy i milczy.

Tymczasem matka zaczyna chodzić szybko po pokoju, z twarzą bezradną dziecka, łamiąc swe szcuple ręce. Żal do syna zmienia się w boleść

głęboką, w rozpacz prawie. Pani Marja domyśla się teraz, że Jasia skrzywdzono, i widzi, że syn staje się z kolei krzywdzicielem jej serca. Pani Marja jednak jest matką Jasia: więc jej gorycz i głębokie rozżalenie nie zwracają się ku niemu, ale ku źródłu, z którego, w jej mniemaniu, płynie to wszystko. Boleść jej zmienia się wkrótce w uczucie, graniczące z wściekłością.

— Pójdę, pójdę! — szepcze nerwowo pani Marja, nakładając kapelusz. — Powiem, powiem im wszystko! wszystko! — dodaje już głośno i szybko wybiega z pokoju.

Jest już dość późno, prawdopodobnie około szóstej. Słońce stoczyło się za mury miejskie. Na ulicach wraz z chłodem zwiększa się turkot i ruch. Różnobarwna fala ludzi wylewa się na miasto i płynie ulicami w rozmaite strony, jak gwarliwe odnogi górskiego potoku. Głośne rozmowy i śmiechy mieszają się z wykrzyknikami przekupniów, sprzedających drobne przedmioty, z nosowemi jękami żebraków: — „Choć grosik, litościwa osobol!” — z gwałtownym dzwonieniem tramwajowych dzwoneczków. Nad wszystkim góruje dudnienie i turkot toczących się pojazdów.

Turkot ten nie jest bynajmniej bezmyślnym. Dziś, na przykład, czyni on wrażenie szyderczego chichotu olbrzyma. Z czego się śmieją te bite kopytami bruki? Trudno odgadnąć! A może z tego, że pani Marja, taka malutka i drobna, tak szybko biegnie do szarego gmachu, którego cokol

jest znacznie wyższy od niej, klamka przy drzwiach tak gruba, że jej objąć jedną dłonią nie zdoła, a dziurka od klucza trzy razy większa od wielkiej, staczającej się po jej policzkach, łzy. (

Niestety! Pani Marja nie słyszy tego drwiącego śmiechu; mija ulicę za ulicą i wpada wkońcu na schody bez tchu, zdyszana, jak zmęczony ptak.

— Czego pani sobie życzy? — zatrzymuje ją stary stróż.

— Czy jest profesor łaciny? — pyta pani Marja, chwytając spalonemi ustami powietrze.

— Który?

— „Orzeł“.

— A jakże, są wszystkie, tylko co poszli na sesję. O! proszę pani, tędy.

Pani Marja idzie za stróżem i wkrótce się znajduje w wielkim, mrocznym korytarzu.

— Oho! już się zaczęło! musi pani zaczekać — ciągnie stróż, zaglądając przez oszklone drzwi do wnętrza sali, z której dolatują stłumione głosy i mdły potok światła.

Po chwili stróż siada pod ścianą na stolku, a pani Marja zaczyna chodzić wzdłuż drzwi, tam i napowrót, jak niezmordowane wahadło zegaru.

— Może pani spóźnie — mówi po długiej pauzie stróż, podsuwając jej krzesło.

Pani Marja przyjmuje tę przysługę z wdzięcznością. Jest oczywiście ogromnie zmęczona; nogi drżą pod nią; przytem to wszystko, co miała powiedzieć, co przedstawiało się jej w domu tak

jasno, znikło teraz gdzieś bez śladu, tak, iż z trudnością zbiera myśli, by złożyć najprostsze zapytanie. Czuje jednak, że musi coś przedsięwziąć w obronie syna; czeka więc cierpliwie.

Z sali od czasu do czasu dolatuje jakieś urwane zdanie, słychać czasem śmiechy, raz nawet wszczyna się tak głośny hałas, że pani Marja zrywa się z krzesła, a stróż się prostuje, myśląc, że rada już skończona.

Alarm jednak okazuje się fałszywym. Sala znów cichnie do tego stopnia, że słychać wyraźnie „tik! tak!“ wiszącego nad drzwiami zegaru i nieprawne brzdąkanie jakiegoś odległego fortepianu.

Sesja przeciąga się niezwykle długo. Pani Marja tymczasem przypomina sobie, że nie wie nawet jak wygląda „Orzeł“; zadaje więc stosowne pytanie stróżowi.

— Ja pani mrugnę — odpowiada stróż. — Oho! już, zdaje się, idą — dodaje, zbliżając się ku drzwiom.

Rzeczywiście słychać szmer odsuwanych krzesel i stąpanie kroków. Drzwi się otwierają i mroczny korytarz rozwidnia się falą światła i blaskiem kilku łysin. Łysi panowie, ubierając się, przypatrują się dość obojętnie pani Marji, która, przylepiona do ściany, z wypiekami na twarzy, mocno wzruszona, patrzy wymownie na stróża. Na koniec stróż mruga znacząco. Wysuwa się „Orzeł“, a za nim jakiś niewielkiego wzrostu, szpakowaty mężczyzna w binoklach, o łagodnym, szlachetnym profilu i zmęczonych, szarych oczach.

Pani Marja zastąpiła obydwom drogę.

— Paniel—zwraca się do „Orła“.

Szpakowaty mężczyzna cofa się kilka kroków, opiera się o futrynę drzwi i słucha.

— Paniel—bąka pani Marja nieśmiało, usiłując przypomnieć sobie z trudem przygotowane zdanie—mój syn...

— Co syn?! kto? nazwisko?...—pyta niecierpliwie „Orzeł“.

— Sklaski—szepcze pani Marja.

— A ten! — no, cóż? powinna być nam pani wdzięczną, że mu pozwalamy dobrowolnie usunąć się z gimnazjum! Nieuk i hardy przytem. Pani samaś temu winna—zapala się „Orzeł“—źle go pani chowasz, jak zresztą, wy wszystkie!...

Szpakowaty mężczyzna porusza się niecierpliwie, jakby chciał coś powiedzieć... po szarych jego oczach prześlizguje się błyskawica, ale szybko gaśnie. Człowiek ten uśmiecha się tylko dziwnie smutno i zostaje w poprzedniej pozycji.

— Ależ, paniel!... on się uczył... — jąka się pani Marja.

— Niech się nie uczy, a umie! Widać niezdolny!... Uczył się... hu! hu! hu! *Nego* odmienia, jak *ego*... Cała rada z tego się śmiała. Podobnego bąka palnąć może idjota... — grzmi dalej „Orzeł“, poczem, rzuciwszy krótkie: — Zresztą, nie mam czasu!—zabiera się do odejścia.

Po ostatnim epitecie, wygłoszonym pod adresem Jasia, pani Marja drgnęła całym ciałem, usi-

lując coś powiedzieć... co jednak? niewiadomo, bo głos jej zamarł w gardle. Stała chwilę, a potem, odwróciwszy się, odeszła cicho, niosąc w piersiach ostry ból, a w głowie—chaos niezwykły.

— To fałsz! to fałsz!—szeptała cicho pani Marja, starając się w ten sposób odpędzić ten krótki wyraz, który się jej wpija do mózgu, a którego zrozumieć nie może.—Jej Jaś idjota?!...—to niepodobna! Niezdolny?!...—w to nawet uwierzyć, nie może, nietylko dlatego, że Jaś jest jej synem, ale że ma spełnić jeszcze jedno zadanie, o którym pani Marja marzyła nieraz w ciche wieczory... I oto teraz, gdy tak idzie, znękana i przybita, przypomina jej się ta bolesna chwila, kiedy mąż, zanosząc się od kaszlu, wyszeptał cicho:

— Nietylko was mi żal, ale i tego niedokończonego dzieła—wychudłą ręką wskazując leżący na biurku rękopis.

A pani Marja wtenczas, tłumiąc łzy, nadludzkim wysiłkiem przywołała na usta uśmiech udany i rzekła prawie wesoło:

— Sam tego dokończysz, a gdybyś nie mógł, Jaś cię wyręczy—dodała z wiarą.

I oto dzisiaj wierzyć jej każą, że to nigdy się nie ziści... Cała rada się śmiała... Jeżeli słusznie?... —

Nie, nie — powtarza pani Marja, chwytając się latarni...

— Co pani jest?—odzywa się nagle głos.

Pani Marja, rzuciwszy z przerażeniem wzrok

przed siebie, spostrzega stojącego przed nią szpakowatego mężczyznę.

— Nic, nic!—odpowiada z trudnością, usiłując iść dalej.

— Czy pani mnie nie poznaje?—ciągnie właściciel binokli.—Jestem Kącki, inaczej stary matematyka-matematyk, który miał honor uczyć i męża pani, i syna.

Tu pani Marja przypomina sobie, że tę twarz gdzieś widziała, ale gdzie—nie pamięta.

— Nic dziwnego, dawne czasy — mówił dalej jegomość.—Zmieniłem się nietylko ja, ale i świat... Czego pani płacze?—dodaje łagodnie. — Słyszałem co ten osioł pani powiedział. Jest czego się martwić!... Ja prędzej miałbym prawo do łez, że tracę zdolnego ucznia... Szkoda mi go: rozumiał arytmetykę... Niech mi pani wierzy, że mi żal go serdecznie; to chłopak myślący, ten pani Jaś, wdał się widać w ojca. On jeden spytał mnie:—„Jakim sposobem dziewięć w perjodzie, ułamek, może się równać jedności?“—A zresztą, prawda, pani tego może nie rozumie; nudzę panią niepotrzebnie; już to mój zwyczaj!...

Ależ nie!—protestuje żywo pani Marja.

I rzeczywiście, ten człowiek, co chwali i broni przed nią Jasia, wydaje się jej aniołem niebieskim, a ciche jego słowa płyną, jak balsam, w zmęczone jej serce.

— Tak, tak!—ciągnie dalej matematyk — nie jeden starszy nad tem się nie zastanowił. Posta-

wilem mu za to pytanie piątkę; jedyny sposób, w jaki mu mogłem mą wdzięczność okazać... Szkoda mi go! Gdyby nie to, że mnie tu nie lubia, i wiszę, jak na włosku, tobym go dziś może na radzie próbował bronić... Choć zresztą... kto wie czy nie lepiej, że się pożegnał ze szkołą...

— Jakto?—pyta pani Marja tonem szczerzego zdziwienia.

— Widzi pani—odpowiada jegomość, poprawiając binokle—w szkołach dzisiejszych... ogólny strychulec, powyżej którego wychylić głowę niebezpiecznie, panuje wszędzie. Rzecz bardzo zrozumiała. Spryt handlarski i pracowitość popłacają w sklepie i fabryce: popłacają więc na świecie, który się zmienia w olbrzymią targowicę i monstrualną fabrykę. Nic też dziwnego, że szkoła te dwie tylko marne zdolnostki uznaje, a innemi gardzi... Teraz już niema przybytków nauki, bo niema kapłanów, a w dawnych świątyniach rozparli się geszefciarze myśli i pracowite mole...

— O, tak—dodaje po chwili, jakby do siebie —i ja niegdyś myślałem o czwartym wymiarze, a dziś tych trzech zrozumieć dobrze nie mogę... Ja idę na lewo, a pani?—przerywa nagle.

— Ja również—odpowiada pani Marja.

— A więc idziemy razem—mówi dalej, uśmiechając się dziwnie.—Zresztą myślę, że nie o czwartym wymiarze pani chodzi, lecz raczej o wydatki. Otóż zaraz możemy to obliczyć. Jeżeli pani płacić będzie dobremu korepetytorowi dwadzieścia

rubli miesięcznie—cena wygórowana—za godzinę dziennie zajęcia, co zupełnie wystarczy, bo maled, ręczę, przez tę godzinę więcej zrobi, niż przez pięć w klasie, wyda pani, przypuśćmy, na jego naukę o sto pięćdziesiąt rubli rocznie więcej; liczę za dużo, ale niech i tak będzie! Pomnożywszy przez sześć, otrzymamy dziewięćset rubli: to spora różnica! Ale za te pieniądze któryś z naszych młodzieńców znajdzie możliwość utrzymania się, a pani Jaś nie będzie zmuszonym przez pięć godzin dziennie oddychać zatęchłym powietrzem klasy, truć się dwójkami, oszukiwać profesorów, wykręcać się, kłamać, psuć sobie płuca, serce i mózg. To chyba niezbyt drogo. Niech pani przytem zwróci uwagę na to, że za jakie trzy lata Jaś mógłby się uczyć sam, korzystając tylko ze wskazówek życzliwych ludzi, których, koniec końców, znajdzie wszędzie. W ten sposób on zyska, bo się przyzwyczai do samodzielnej pracy umysłowej, a różnica wydatków zmniejszy się o połowę. Dalej, od pozostałych czterechset pięćdziesięciu rubli niech pani odejmie koszt umundurowania, niezliczonej liczby zupełnie zbytecznych książek i doktora, który z pewnością będzie rzadziej do państwa zaglądał—otrzymamy *maximum* trzysta. Jeżeli jednak i tych brakuje, to odpraw pani służbę, a Jaś, który o połowę mniej czasu będzie tracił na naukę, może śmiało czyścić sobie i matce obuwie i ubranie, zamiatać pokój, nastawiać samowar i doglądać

obiadu. Na takim połączeniu pracy fizycznej z umysłową nie straci on z pewnością; prócz tego, nauczy się praktyczności i gotowania—rzeczy nie do pogardzenia—a znaczna różnica spadnie do zera. W ten sposób zdoła chłopak przygotować się do egzaminu dojrzałości i ominie jeden z najgorszych etapów. Tak, ten papier jest potrzebny zarówno, jak i drugi papier, zwany dyplomem. Choć, kto wie: czy warta gra świecy? Zapewne bardzo być może, że nieopatentowany Jaś będzie miał trochę szczuplejsze dochody, ale rozwinięty, nieskrzywiony—szczęśliwiec!—będzie żył całą piersią swojej istoty i nie pozwoli zmarnować i zdusić ani jednego pierwiastka swej duszy; Jasia zaś, spaczzonego, zahukanego, spreparowanego wedle recepty, będzie życie jadło i żarło... To nawet za silne! Życie nie jest tak okrutne: ono go zetrze, tylko powoli, tak, jak ścierają się nawzajem dwa młyńskie kamienie.

—Więc pan go radzi nie posyłać do szkoły?
—wtrąciła pani Marja.

—Ja nic nie radzę—przerwał jegomość—tylko obliczam; przytem zastrzegam się, że nie jestem pedagogiem, choć możeby być nim wypadło. Nie kusilem się jednak nigdy o to i zdaje mi się, że mam pod tym względem rację. Bo czyż może być mowa o jakimś wychowaniu z naszej strony, jeżeli nie mam żadnej rękojmi, że moje zasady, że mój system wychowawczy, którego się będę trzymał w ciągu mojej godziny, nie zosta-

nie zniszczonym, a może oplwanym przez tego, który po pięciominutowej pauzie zajmie miejsce moje na katedrze? A gdyby nawet panowała zupełna jednomyślność w gronie nas, profesorów, byłby to również próżny wysiłek, gdyż klasa składa się z najrozmaitszych typów i organizacji psychicznych; system zaś i przepisy musiałyby być jedne i jednakowo wszystkich obowiązujące. Ja więc nie bawię się w wychowawcę i nie prawię morałów, z których malcy, *notabene*, za plecami się śmieją; staram się być tylko dobrym nauczycielem, bo tu mam prawo i pewną możność objaśniać jedną i tę samą rzecz na różne sposoby, stosownie do umysłu każdego z mych uczniów. Wychować my nie możemy; możemy, co najwyżej, popsuć. Wychowuje dom, a raczej wy, panie matki, a oprócz was, jeszcze—koledzy... Czy pani idzie prosto?

— Tak—zmyśla pani Marja.

— A więc idziemy jeszcze razem. Koledzy, pani, jest to element w wychowaniu niezwykle ważny, szczególnie u starszych chłopców; na szczęście, potężny ich wpływ jest prawie zawsze dodatnim. Przez dziesięć lat bez binokli, a obecnie drugi dziesiątek lat przez binokle patrzę na życie i nigdy jeszcze nie spotkałem się z faktem, by rej wśród klasy wodził chłopak zepsuty i podły. Rzecz również zrozumiała, skoro nawet w świecie dorosłych złe mimowolnie się korzy przed tem, co szczytne i wzniosłe, brzydota czuje się

w obowiązku tłumaczyć przed pięknem, egoizm nie ma odwagi wystąpić otwarcie i dlatego kryje się pod najrozmaitsze maski. Tem bardziej toż samo dźiać się musi w światku dziecięcym, który z natury swojej ma więcej od nas szlachetności.

Tu matematyk potrząsnął smutnie głową i jeszcze raz powtórzył:

— Tak! więcej szlachetności—i umilkł.

W ten sposób przeszli kilkanaście kroków, az wkońcu, na zbiegu ulicy, szpakowały jego—mość, zatrzymawszy się, spytał:

— No, teraz pani którądy?

— Na lewo—odparła pani Marja.

— A ja na prawo. Więc żegnam tymczasem i ośmielę się dać tylko jedną radę: niech pani nie odgradza swego jedynaka od innych dzieci; niech biega z niemi, gra w piłkę, niech drze ubranie i skórę: im więcej guzów zarobi, tem lepiej, a jak będzie miał ochotę, niech smyk wpadnie do mnie. Mieszkam tu pod piątym. Pogadamy sobie o ułamkach.

Co rzekłszy, złożył niezgrabny ukłon, a pani Marja, uściskawszy go serdecznie za obie ręce, pełna otuchy, choć trochę niespokojna, dreptała szybko do domu.

Na progu przywitała ją chmurna Janowa.

— Co też pani temu chłopcu zrobiła?—rzekła z wyrzutem.—Obiadu nie jadł, siedzi biedactwo, jak borsuk w kacie. Eh, bo też pani to zmiłowania nie ma nad tym chuchrakiem!

W oczach pani Marji błysnęły znowu łzy; wpadła do pokoju, wyciągnęła z kąta Jasia i jęła go obsypywać gradem pocałunków, przyczem chłopak zaczął się trząść, jak liść, i nagle zaniósł się od łkania i płaczu.

— No, cicho, cicho!—szeptała pani Marja, tuląc jasną jego główkę do piersi.—Nie płacz! nie płacz! —powtarzała dalej, szlochając wraz z synem.

I niewiadomo, jak długo płakaliby oboje, gdyby nie interwencja praktycznej Janowej, która, obcierając fartuchem swoje pocziwe oczy, rzekła stanowczo:

— Ja pieczeń przygrzeję, a państwo zjedzą —i już!

Pomysł ten zyskał ogólne uznanie. Syn i matka byli wygłodzeni porządnie; więc objętość pieczenia, łykanej z resztką łez, jęła się zmniejszać dość szybko, ku wielkiej radości Janowej, dbałej o dobrą sławę kucharki.

Podczas jedzenia pani Marja złożyła Jasiowi krótkie sprawozdanie ze swej wyprawy.

— Tak, tak, mój Jasiu!—skończyła—tydzień odpoczniesz, a potem będziesz miał nauczyciela... a ja godzinę więcej grania—szepnęła w duchu.

Jaś z rozszerzonymi oczyma przysłuchiwał się, zdziwiony, słowom matki, a w jego twarzy błyszczała radość, zmieszana z ciekawością.

— No, teraz chodźmy spać; należy się to nam obojgu—dodała pani Marja, całując kilkakrotnie syna.

Jaś zaczął się rozbierać; zaledwie jednak wsunął się pod kołdrę, twarz jego spochmurniała i spytał matki:

— Ale za co on mi postawił pałkę?

— Ach, prawda!—odparła pani Marja.—Mówił coś o tem... czekaj, przypomnę sobie... zdaje mi się—*nego*.

— Tak, *nego, nego!* mamusiu—zawołał Jaś, zerwał się w koszuli z łóżka i chwyciwszy słownik, jął gorączkowo przewracać kartki.

— *Nego, negavi, negatum, negare*—czasownik—wymówił zwolna z zawstydzoną miną—znaczy: przeczę, zaprzeczam, mówię, że nie, protestuję.

— No, chyba to słowo będziemy dobrze pamiętali oboje?—przerwała pani Marja, odchodząc do swego pokoju.

— O, będziemy, mamusiu!—wyrzekł z mocą Jaś i kładąc się, szeptał zawzięcie:—*nego, negavi, negatum, negare*.

Tymczasem miasto uspakajało się powoli; noc płynęła na niebo, wiodąc za sobą miliony gwiazd, ciszę i sen. Ogromny księżyc wyjrzał z za dachów wyniosłych domów i rzucił wąski snop smutnego światła w okna cichego mieszkania.

— Czy mama już śpi?... bo ja nie mogę... —szepnął półgłosem Jaś.

Pani Marja również nie spała... Oboje znali łowili się w tym dziwnym stanie wyczerpania i jednocześnie rozstroju, wywołanego nawalem wrażeń, kiedy oczy się kleją, a jednak usnąć nie

można, bo tysiące myśli porwanych i majaczących obrazów ciśnie się do głowy; wszystko to się płacze, to skupia, to znów rozprasza, jak stada spłoszonych gołębi.

— Nie, nie śpię—westchnęła pani Marja i postanowiła chwycić się środka, którym koila zwykle swój niepokój i którym usypiała nieraz rozkapryszanego Jasia.

Podniosła się z łóżka, naciągnęła na drobne, bosc nóżki filcowe pantofle, narzuciła jasny szlafroczek i owinięta kaskadą bujnych włosów, zbliżyła się ku klawjaturze pianina.

Popłynęły ciche, stłumione dźwięki... Co pani Marja grała—trudno było określić: było to jakieś splełane *cotpourri* mniej i więcej znanych motywów, łączonych przejściami własnego pomysłu, dziwnie wymównemi i smutnemi. Gra jej nie odznaczała się biegłością techniki, ale wzruszała ogromem uczucia. Była to jakaś cicha pieśń, wytchnięta z głębi piersi, w której lkał bezradny płacz zabłąkanego wśród lasu dziecka, trwożne kwilenie ptaków, zbudzonych luną pożarów w noc ciemną, tęsknota krzyżów, spróchniałych na rozstajnych drogach, podczas zawieruchy zimowej stojących smutnie. Chwilami się zdawało, że to nie pianino dźwięczy, ale drżące tony leżą wprost z drobnych palców, z przymglonych oczu pani Marji, leją się z jej jasnych włosów, spływają z gwiazd, nad oknem tłumnie stłoczonych.

A księżyc wznosi się wyżej i wyżej i coraz

większym blaskiem napęlnia szczupłe mieszkanie. Niebo wyiskrzyło się całem bogactwem swoich brylantów, droga mleczna rozwiała srebrne welony szerokim szlakiem.

Noc stawiała się jasną, lecz dziwnie smutną zarazem, a jej smutkowi jęły wtórować pełne akordy szopenowskiego nokturnu...

Tu już melodia tak zespoliła się z nocą, że trudno było odróżnić: gdzie pani Marja, a gdzie noc grała? gdzie lkania strun, a gdzie lzy gwiazd?

I właśnie, kiedy wielki, błękitny meteor oderwał się od stropu i lecąc cicho, zgasł nad ziemią, jęknął ostatni klawisz...

Pani Marja wstała powoli, przeszła, jak senna, przez drzwi, zbliżyła się do łóżka syna i klękła przy nim—a długie jej włosy zmieszały się z wiązką, leżących na podłodze, złotych promieni księżycy.

Jaś spał spokojnie, odwrócony nawznak; jedną obnażoną rękę założył pod głowę, druga mu zwiśła bezładnie z poduszki. Usta miał wpółotwarte, przymknięte oczy i cień od długich rzęs pod niemi, co nadawało twarzy piętno zmęczenia i smutku. Nagle drobna zmarszczka przecięła mu matowe czoło, usta skurczyły się zacięcie — i Jaś, oddzielając wyraz od wyrazu, wymówił przez sen, dobitnie, głosem urywanym, bezdźwięcznym i głuchym:

— *Nego, negavi, negatum, negare* — zaprzeczam, protestuję...

Pani Marja drgnęła, jakby jakimś niewytłumaczonym lękiem przejęta, potem, z oczyma, łez pełnemi, pochyliła się nad głową syna i zakryła mu usta gorącym pocałunkiem, w którym roztopił się mars chłopca, a twarz przybrała poprzedni wyraz pokoju i melancholji.

I długo jeszcze pani Marja wpatrywała się badawczo w umiłowane oczy, w których widziała przeszłość minioną, z wyrazem takiej zadumy, jakby z nich przyszłość chciała odgadnąć.

Przyczem w sprawie nocy tworzyli oboje tak piękną, smutną i harmonijną grupę, że wszystkie gwiazdy, do których właśnie dopiero teraz dobiegły dźwięki granej melodji, pytały siebie: czy nie są oni czasem zaklętym kształtem ostatnich akordów tylko co przebrzmiałego nokturnu?

A TO SIĘ PALI TYLKO SERCE MOJE

Władysław Skierski, początkujący literat, i robotnik ślusarski, Bartłomiej Barącz, obaj emigranci z jednej okolicy, dla oszczędności mieszkali razem.

Należeli też do pierwszej sekcji drugiego plutonu kompanji strzelców, gdzie Skierski nosił przezwisko „Stacha“, a Barącz—„Marka“.

Ponieważ stanowili we dwóch rotę, w najczęściej używanej podczas pochodu kolumnie czwórkowej szli obok siebie.

To sąsiedztwo było dla dość słabego fizycznie literata bardzo dogodne. Doskonale wyćwiczony i silny, jak tur, Marek nie tylko podpowiadał mu w kłopotliwych sytuacjach, jak się ma zachować, ale nieraz, gdy wypadło iść w nocy przez ugory, zoraną rolę, słowem—bez drogi, pozwalał mu się chwycić pod ramię, co znakomicie ułatwiało marsz. Za te usługi, wyświadczone w polu, Stach pomagał Markowi w domu.

Marek, jako robotnik o bardzo słabem wykształceniu ogólnem, nie umiał sobie dać rady z teorią sztuki wojennej, zwłaszcza, gdy w grę wchodziły pojęcia oderwane, wyrazy obcego pochodzenia lub formuły matematyczne.

I dopiero przy współudziale Stacha przyuczał się pracować samodzielnie, dzięki wrodzonej inteligencji, szybko pokonywał trudności i wkrótce nabył tyle wiedzy, że mógł zdać egzamin oficerski. Nie kusił się jednak o rangę, gdyż nie miał zaufania do szabelki; przekładał nadewszystko karabin, którym władał tak świetnie, że aż satysfakcja była patrzeć.

Zawsze pilny i obowiązkowy, gdy z powodu komplikacyj politycznych nastąpiło ogólne podniecenie, zawzięty chłop z chciwości wiedzy dostał jakgdyby furji.

Obkuwał się po całych dniach, nieraz zrywał się w nocy, chwytając kurtkę i repetował polową sygnalizację, przyczem kiedyś stłukł lampę i omal nie spalił całego skromnego ich dobytku.

Na ćwiczeniach wobec markowanego wroga zachowywał się tak, jakby chodziło o prawdziwą bitwę. Wysłany na wywiady, mógł czołgać się godzinami na brzuchu, brodzić po pas w wodzie korytami wezbranych rzeczek; to też wracał zwykle ubrany, jak nieboskie stworzenie, i przemoczony do nitki.

Kiedyś zaś podczas ataku zapalił się do tego stopnia, że ugodził lufą karabinu sekcyjnego „Bo-

rutę” tak silnie w piersi, że mąż ów nakrył się nogami; szczęściem, natrafił na guzik i skończyło się na olbrzymim sińcu.

Poszedł zato na godzinę pod karabin i wystał sumiennie, cały czas wyprostowany, jak struna. W dobie tej strzelców ćwiczano w gorączkowym tempie, ale Markowi ciągle było za mało.

Napraszał się na ochotnika, z własnej inicjatywy ćwiczył prywatnie nowozaciecznych rekrutów, całe dni niemal bywał w polu, a wróciwszy do domu, pakował zdarte nogi w kubel z zimną wodą, brał książkę i kiwał się nad nią nieraz do świtu.

Stach podziwiał jego siły, co mu nie przeszkadzało wcale wymyślać sublokatorowi od „malpozwierzy” i „idjotów”, zwłaszcza, gdy mu spać przeszkadzał, a nazwał go zbiegiem z Kulparkowa, gdy Marek nazajutrz po forsownych, nocnych ćwiczeniach z widoczną satysfakcją zakomunikował rozkaz, powołujący do stawienia się na godzinę trzecią po południu z jedną zmianą bielizny i żywnością na dzień cały, co wróżyło długi marsz.

Pokłócili się wówczas do tego stopnia, że szli na punkt zborny przeciwnymi stronami ulic i połączyli się dopiero w lokalu „Strzelca”, gdzie wrzało, jak w ulu. Okazało się, że przybyły paki z bronią i ich kompanja, dopełniona do bojowego składu, t. j. do dwustu pięćdziesięciu ludzi, ma gdzieś wyruszyć.

Z godzinę trwało wydawanie uzbrojenia, rwe-

tes i gwałt, wreszcie pierwszy i drugi pluton w pełnym rynsztunku z manlicherami starego typu i saperskimi łopatkami u pasa, trzeci i czwarty z werdlami i bagnetami u boku stanął w szeregu. Dowództwo nad kompanją objął porucznik Mars; przyjął od plutonowych raport i na komendę kolumna pociągnęła ulicami miasta. O parę stajań od rogatek, na szosie, idącej w kierunku granicy, spotkano okryty brezentem wóz. Na przodzie siedział znajomy doktor i dwóch felczerów. Tu nastąpił krótki postój; z wozu wydobyto pałasze, na które oficerowie zamienili swe trzcinki, szeregowcy zaś otrzymali po sześćdziesiąt ostrych ładunków.

Ta parada, niezwykła liczba, pełny rynsztunek, ostre ładunki, wóz sanitarny, rzeżki, pachnący wiatr, widok rozległych zieleniejących pól—wszystko to składało się na jakieś uczucie mocy, od której rosły serca i jakby nowem, wyzwolonem tchnieniem rozciągały się szeroko piersi. Rażno, w takt odzywającej się od czasu do czasu trąbki, szeregi wybijały takt i każdy czuł w sobie, jakby po stokroć spotęgowaną siłę.

Przez harmonję ruchów, utrzymywanie z towarzyszami czucia powoli zanikała świadomość indywidualnego istnienia, wszyscy spajali się jakoby w jeden, regularnie poruszający się mechanizm.

Sprawniej, niż zwykle, czwórkowa kolumna na szerszych miejscach formowała się w pluton,

a kiedy po obu stronach pobiegły malachitowe łąki, rozległa się komenda:—„Rozwinięty!“—Wówczas pierwszy pluton wziął krótki krok.

— W czwórki w prawol — zagrział podporucznik drugiego — Sikora.

— W czwórki w lewo! — ryknęli plutonowi następnych i zrównawszy się ze skrzydłami pierwszego, plutony zrobiły „na lewo front“ i w dwurzędzie, szeroką linją, pierś przy piersi, utrzymując równanie, cała kompanja kroczyła, jakby tańcząc, po sprężystym, wilgotnym kobiercu.

Przed nią palił się czerwienią ogromny krąg zachodzącego słońca i jakby kępa jasności, widniał w świeżem poszyciu brzozy las.

— Raz, dwa, lewa, lewa! — pokrzykiwali radośnie oficerowie.

Jakieś wrażenie pędu zdawało się samo podnosić nogi i na komendę: — „W czwórki!“ — kompanja zrobiła tak gwałtowny zwrot, że aż szczeręły karabiny.

Odrąbiono — spoczniij — wolno śpiewać — dał sygnał kompanijny.

„O mój rozmarnie, rozwijaj się...“ — zaciągnęły pierwsze szeregi.

„O mój rozmarnie, rozwijaj się...“ — podchwyciły następne, a potem całym chórem:

„Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej, zapytam się,
A jak mi odpowie — nie wydam się,
Ułanów werbuja, strzelcy maszeruja, zwerbują się!

Dadzą mi konika cisowego,
Dadzą mi konika cisowego,
I ostrą szabelkę do boku mego!
Dadzą mi buciki z ostrogami
I siwy kabacik, i siwy kabacik z wyłogami!

A po momencie pauzy Marek wysokim tenorem, a za nim reszta huknęła wesołą piosenkę:

„Lepsza ja, Jasiu, niżli ty,
Bo ja mam fartuszek wyszyty!
A któż ci go, Kasiu, wyszywał,
Kiedy ja u ciebie nie bywał?
Oj, wyszywali mi go dworacy,
A jeśli nie we dnie, to w nocy.
Oj, wyszywali mi go dworzanie,
A jeśli nie w łóżku, to w sianie...”

— Bacność! Równaj krok!

Piosenka urwała się, jak uciął, i tylko dudniała miarowo szosa. Kompanja skręcała na ugór, szła czas pewien płaskowzgórzem, aż znowu rozległa się komenda:— „Rozwinięty na lewo wskos!”— i długi wąż czwórek począł splaszczać się powoli, jakby rozsuwać się wpoprzek, aż wkońcu zmienił się w dwie śmugi sinawych mundurów, łyskających bronią. Szeroko rozpostarta wstęga szła w milczeniu, zapatrzona w płomienną zorzę, w zbiegłe na widnokręgu różowe, wełniste obłoki, w omglony po tamtej już stronie lesisty wzgórek i w biały, widniejący wdole, dom komory celnej.

— Kompanja stój!

Jeszcze krok i szeregi zatrzymały się, jak wryte.

— Do nogi broń! spocznij!

Stuknęły, jak jeden, kolby karabinów i wyskoczyły naprzód prawe stopy, ale tym razem nie wkradło się w szeregi pewne rozprężenie, dopuszczalne na „spocznij”. Bliskość granicy, widok ozdobionych orłami słupów wprawiał wszystkich w nastrój surowej powagi.

Niezwyczajnie silnie zmieniła się twarz Marka.

Suchy jego profil przybrał wyraz sępi. Wysunął naprzód głowę i zdawał się wpijać rozgorzałemi oczyma w dal.

— Widzisz—tracił łokciem Stacha, wskazując ruchem żreńce grupkę pogranicznej straży, której sylwetki rysowały się dość jasno na przesianem blaskami tle nieba.— Jak na dłoni—psubraty!...

— Bacność! na ramię broń!

Żołnierze zrobili odpowiedni chwyt i zeszywnieli na miejscu.

W tej samej chwili rozległ się tętent i z za krzaków wysunęli się dwaj jeźdźcy, kapitan i starszy instruktor „Strzelca”. Zbliżali się kurz-galopem, a gdy znaleźli się w odległości jakichś trzydziestu kroków, Mars krzyknął:

— Na lewo patrz!

Żołnierze spuścili po paskach ręce na szyjki karabinów dla oddania odpowiednich honorów. Mars podbiegł, salutując, i zdał raport. Kapitan o coś pytał półgłosem, potem przejechał stępą wzdłuż kompanji, lustrując szeregi, wreszcie zatrzymał się i rzekł głosem spokojnym, lecz doniosłym:

— Obywatele, przywożę wam nowinę: jest wojna!

Kompanja drgnęła, potem zastygła, zrobiła się umarła cisza, a potem przyspieszonym tętnem zabiły setki serc.

— Znajdujemy się—ciągnął po pauzie—w odległości mniej więcej kilometra od granicy; zadaniem waszej kompanji jej obsadzić ten dom, spędzić straż i znieść w tym miejscu kordon.

Ale, obywatele, jesteście dotychczas armją ochotniczą; kto chce, ten może się cofnąć, nie będziemy tego traktowali, jako objawy tchórzostwa, słabości ducha; rozumiemy, że niejeden z was może mieć jakieś poważne sprawy do załatwienia, musi mieć pewną zwłokę dla uregulowania prywatnych interesów; tych, co opuszczają nas, będziemy uważali za rezerwę, która w odpowiedniej chwili się zjawi. Zresztą, i nie na placu boju można oddać sprawie wielkie usługi. Daję wam tedy dziesięć minut do namysłu, ale uprzedzam, że z uderzeniem jedenastej minuty ci, co zostaną, wchodzi w skład regularnej armji i cofnięcie się z szeregu po tym terminie będzie karane, jako dezercja.

— Rozejść się!—rzucił krótko i wydobył zegarek.

Szeregi stały moment, jak zdrętwiały, wreszcie poczęły rozpełzać się powoli. Ci sami ludzie, którzy każdą nowinę, zwiastującą konflikt, przyjmowali gromkimi okrzykami—hurra!—gdy to ma-

rzona stało w postaci rzeczywistości, witali je milczeniem. Niektórzy, stłoczeni w grupki, porozumiewali się szeptem, inni odbijali się daleko w pole, jakby pragnąc pozostać sam na sam z sobą.

Stach czuł, że zostanie, ale doznawał tego uczucia tremy, jakby zatajonego smutku, którego doświadczał, ilekroć mu wypadało występować z płomienną przemową wobec wykwintnej i obojętnej publiczności. Zachciało mu się raptem znaleźć w pobliżu Marka, który stał na swoim miejscu z rękami, złożonemi na lufie karabinu, i patrzył w kordon.

— A cóż wy?—rzekł, by coś powiedzieć.

— Ja?—wymówił tonem zdziwienia Marek—bagnetu nie mam, ot co jest... Słuchajcie—zaczął z ożywieniem—widzę nie więcej, jak tysiąc czterysta kroków, potem skokiem pod te brzozy—raz jeszcze dam salwę i do ataku, kolbą przez łeb, bagnetu niema—westchnął—pamiętajcie, jakby się tam który ztyłu wykopyrtnął, podrzućcie mi jego werdel, bym miał go pod ręką. Stachu—zaczął nagle w przystępie nieznanej serdeczności—więc to już za chwilę, mój Boże!—i oczy stanęły mu w światłach, jakby w jasnym łzach.

Rozległ się sygnał na zbiórkę.

Wolniej, niż zwykle, formowały się plutony, niektórzy bowiem podchodzili, jakby ociągając się, w rezultacie jednak nie zabrakło nikogo.

— Dziękuję wam, obywatele—zasalutował ka-

pitana, zawrócił konia i wraz z instruktorem oddalił się lekkim truchtem.

— I ja wam dziękuję, tęgoście się spisali—zawołał wesoło Mars—no, a teraz do domu, wolno palić i śpiewać, kolumna czwórkowa, w czwórki na prawo zwrot!

Zmienili wszyscy szyk, prócz Marka, który postąpił krok naprzód i zatrzymał, oglądając się na kompanję zdziczałemi oczyma, jakby nie rozumiejąc, co zaszło.

— Ej, tam, Marek! gapi się, jak „ofirma“, i nie słyszy komendy!—zestrofował go plutonowy.

Marek złączył się machinalnie ze swoją czwórką i stapał, psując równanie i potykając się o kamienie, jak ślepy.

Szeregi szły ciągle w milczeniu, nastrojone jeszcze czas pewien na uroczysty ton; szybko jednak rozigrały się humory, wróciła dawna werwa i huknęło, aż drgnęła noc:

„Przyjechali trzej ułani z wojny,

Pytali się o nocleg spokojny.

A znalazłszy gospodę spokojną,

Pytali się o dziewczynę strojną-a-a.“

Ostatnią nutę podbijano kilkakrotnie i wysoko, w czem celował Marek; obecnie jednak szedł w milczeniu, żadna nuta nie drgała mu w ściśniętej, zalanej goryczą pierś.

„A czyście jej nie widzieli w polu?

Wybierała pszeniczkę z kąkolą“—

dzwoniła pieśń...

„A czy ona o weselu myśli,
Że tak pilnie swą pszeniczkę czyści?“

Wydobywały się gwiazdy na niebie, sierp księżycy rozjaśniał noc.

„...Wybierała półtora zagona,
Nie będzie jej do południa doma.“

— Czego oni śpiewają!? — burzyło się coś w Marku, a pieśń grzmiała coraz radośniej:

„...Przejechali przez cztery zagony,
Dojechali do samej, do onej,
A ona ich mile przywitała...“

ciszej, bo byli w bliskości rogatek, nuciły szeregi:

„I każdemu podarunek dała,
A pierwszemu obrączkę na rączkę,
A drugiemu miłości gorączkę,
A trzeciemu rozmarynu wieniec,
Bo to serca jej był ulubieniec...“

Zadudniał bruk miasta, skęcili w boczną ulicę, złożyli w lokalu broń i radzi, że świetnie wypadła próba męstwa, wysypali się z podwórza.

— Cóż, wzięło was, wreszcie i wyście się zmachali—dogadywał żywo Stach, widząc, jak Marek ze spuszczoną głową powłóczy nogami—zajdziemy chyba do Michalika oblać ten wypadek.

— Idźcie choćby do samej cholery! Zgnijecie w tej budzie i wsadzą was za gablótkę, jak te szkielety malarzy! Do Michalika!—zaśmiał się niezszybczej—ja nie mam tam co robić!

— A co będziecie robili w domu? Nie chcecie tam, to wstąpmy do Hanusza; warto coś przetrząść.

— W domu—powtórzył Marek, westchnął i jak obezwładniony, dał się prowadzić.

W tylnym pokoju restauracji nie było już cywilnej publiczności, zato strzelców, jak nabił.

Z humorów i zaognionych twarzy znać było, że minęło już kilka kolejek.

— Wiwat! poeta z „Marką“! — przywitano ich okrzykami, zrobiono miejsce.

— Jeszcze dwiel! — krzyknął za kelnerem porucznik Sikora i wkrótce wjechała taca jarzębiaków.

— No, duszkiem, wiara! — wychylili wszyscy do dna, prócz Marka, który siedział posępnie, jakby obcy całemu towarzystwu, zupełnie samotny.

— Marek, co to jest? — strojąc udanego marsa, odezwał się Sikora. — Baczość!

Marek mimowoli wstał.

— Do ręki, broń!

Marek machinalnie ujął kieliszek.

— Cel, pall!

Marek drgnął, jak ukłuty.

— Obywatelu poruczniku—zaczął rwącym się, zdyszany głosem—gdybyście mi tam, kiedym ich czuł, jak na muszce trzymał, gdybyście... ale jeżeli wy tu, w knajpie, mówicie mi te słowa... to... —kieliszek pękł mu w rękę, krwią zboczyły się palce... zachłysnął się... —psia krew! —trzasnęła nóżką w stół, roztrącił krzesła i wybiegł.

Stach wyskoczył za nim.

— Czy wyście oszaleli —usiłował go dogonić.

Ale Marek szedł szybko, czując, jak mu coś rwie wnętrzności, jakgdyby głębokie łkanie.

Gdy Stach schwytał go za ramię na plantach, drganie to zmieniło się w wybuch wściekłości.

— Tęgośmy się spisali! — ryczał, patrząc na towarzysza prawie z nienawiścią.

Od granicy, wobec nich, dudy w miech—i drała do domu! Czego wy mnie się czepiacie?—wyrwał rękę—nie jestem dziwką, bym się z wami po plantach włóczył, idźcie, bo was chyba zdzieję.

— A to na zbity łeb! —oburzył się literat i trochę skwaszony całem zajściem, wrócił do kompanji.

Długo ciągnęła się biba, ale bez poprzedniego wesela; wszyscy czuli się jakoś nieswojo. Stach wyszedł wcześniej z silnie zaproszoną głową, ale zanim się dowlókł do Dębnik, otrzeźwiał zupełnie.

Marka zastał na łóżku. Spał w butach i ubraniu, obok na stolku dogasała wypalona świeca i leżał rozarty toś Słowackiego, którego Marek, mamrocząc półgłosem, czasem do poduszki czytywał.

Skierski podniósł książkę i z pewnem niezadowolaniem zauważył, że welinowa stronica jest splamiona smużką krwi, wycieranej widocznie, ale nie wywabionej doszczętnie. Różowa żyłka jakgdyby zaznaczała czterowiersz:

„Ja prawie jestem człowiek obłąkany,
Ciągłe powiadam, że kraj już się pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje,
A to się pali — tylko serce moje!“

Skierski szeptem powtórzył kilkakrotnie ten ustęp i zrobiło mu się nagle i smutno, i źle.

Spojrzał mimowolnie na Marka i dopiero teraz zauważył, jak ten chłopak w ciągu ostatnich tygodni schudł, jak zeschnęła mu pociągła twarz, smagła, miejscami ciemna, jakby spalona. Coś serdecznego poruszyło mu się w duszy i poczuł się nagle Markowi tak bliski, że byłby go chętnie uściskał, ale lękał się gburowatej odprawy. Rozebrał się, wyciągnął zmordowane marszem i pijatyką członki, ale zasnąć długo nie mógł. Jak refren uporczywej melodji, uczepił się jego duszy ostatni wiersz:

„A to się pali — tylko serce moje!...”

I kołatał nieustannie w takt pulsującej skroni, jakby drugie krwi tętno.

PALTOCIK

Pani Katarzyna P..., znana w ściślejszych kołach pod szanownym pseudonimem Janiny, zapłaciła z westchnieniem dwie szóstki za brakującą markę, zbliżyła się do lampki i rozpieczętowała, zaadresowaną bladym, wodnistym atramentem, kopertę. Data była z przed kilku tygodni. Nagłówek:

„Kołpaszowo, Narymskij kraj.”

„Kochana Kasiu! Piszę do ciebie, żeby cię zapytać, jak ci się powodzi w owym Krakowie; jak się mają baki i czy jesteś już w zajęciu. Ja tu czytałem w jednej gazecie, co ją przysłali z Irkucka, że te stany mają być skasowane i ci, co dostali zagranicę, będą mogli wrócić. Jeżeli to prawda, to machaj nazad: w Warszawie łatwiej ci się będzie przekołatać, póki co. Może cię nawet przyjmą na „labor“, bo tak malować kwiaty, jak ty, nie każda potrafi. U nas tu śnieg zwałił i mróz siarczysty, a żeśmy się wydarli z ubrania, siedzimy pod piecem i turbujemy się, co dalej będzie.

Podobno za te ostatnie nieporządki mają nam „zbawić kormowoje“, to też radzimy, jak mamy sobie postąpić! Przybył nam do kompanji jeden z naszych, pamiętasz, ten zezowaty w Łodzi. Rad jestem, bo swój, a reszta, choć niezłe chłopy, ale straszne esdeki i dogryzały mi od socjal-patrjotów, a ja, choć mocnym w rękę, ale ciężki na głowę. Teraz nam we dwóch łatwiej. Przytem ten z Łodzi gada, że nasi teraz górą i sami jedni robią ruch, a inni opuścili uszy i poszli całkiem do luftu. Swoją drogą, choć się kłócimy, „trzymamy sztamę“, jako żeby była solidarność.

„Jużem teraz dokumentnie obliczył, że wystarczyłoby czterdzieści blatów... Gdyby można gdzie wytrzasnąć, to już wiesz co... A chciałbym. Pięć lat — to nie w kij dmuchał... Cni mi się okrutnie i do swoich, i do ciebie, babo moja, też. Ucałuj dzieciaki; odpisz, a Jasiowi powiedz, że jak ci się będzie sprzeciwiał, to mu sprawię wały.

J a n .“

— Czterdzieści rubli—zastanowiła się Janina—zgórą sto koron... Bagatela! — i jakby pragnąc obliczyć swe fundusze, pociągnęła okiem po izbie, a właściwie sklepionej piwnicy z małym od ulicy podłużnym okienkiem, wzniesionem o parę cali nad chodnikiem. Prawie połowę suteryny zajmował komin i dymiąca parą balja, resztę przestrzeni—podparte paką łóżko i dwa zydle, na których

leżąca deska do prasowania zastępowała stół. Łachy trzeba było wieszać w sionce, od której prowadziły schodki na górę, zaopatrzone w drzwi z kwadratową szybą. Za tę stancję oraz prawo używania góry, niezbędnej przy jej zajęciu, Janina płaciła dwa guldeny tygodniowo, drząc przed każdym terminem, gdyż gospodarz tej kamienicy, składającej się z samych przybudówek, nie znał pardonu i momentalnie wyrzucał niewypłacalną hołotę.

— Czterdzieści rubli! — powtórzyła, ścinając w ironiczny, gorzki uśmiech wargi, i zamyśliła się o tych czasach, gdy wraz z mężem zarabiała niemal tyle tygodniowo, ona—przy malowaniu emaljowanych naczyń na labrze, on—jako ślusarz przy filtrach. Mieszkali wtedy w dwóch przyzwoitych pokojach z kuchnią, miała dywanową otomanę, przy oknach firanki, trzymała do dzieci „szturmaka“, nosiła porządną bieliznę i najmowała babę do prania. A teraz...

Poruszyły się w niej wszystkie zgryzoty, przeżyte cierpienia, zawrzał głucho bezsilny gniew. Zanurzyła zawinięte po łokieć ręce w balję i niemal z wściekłością zaczęła trzeć szmaty, wdychając smrodliwą parę, gryzące wyziewy mydlin, chlorku i sody, które wyjadały z jej czarnych, płonących gorączkowym ogniem, oczu ostre, jak szpilki, lzy.

Umiała znieść mężnie i z godnością wszystkie perypetje niedoli, tem cięższe, że urodziła jej się w celi Julcia, ale tu emigracyjna nędza zżerała ją, jak rdza. Widok wędniących w piwnicy dzieci zatruwał rozpacz; tysiączne dotkliwe upokorzenia buntowały do podstaw hardą duszę, wprowadzając ją w stan gorączkowej szarpaniny i ustawicznej niemal irytacji.

Czuła, że robi się zła, opryskliwa, rozdrażniona, ordynarnie wymyśla, szturcha o byle co dzieci, najwięcej zaś obrywa niegdyś oczko w głowie, a dziś najwięcej pokrzywdzony Jaś.

Julce bowiem, leżącej w powijakach na łóżku, wystarcza do szczęścia sucha pielucha, butelka ze smoczkiem, papka bułki w szmatce. Dwuletni Staś, jak siadł od tygodnia na kuferku i uwiązał do poręczy łóżka tasiemkę, cały dzień cmokając i przytupując nóżkami, do Warszawy jedzie i gdyby dostał jeszcze bat, byłby zupełnie zadowolony ze swej sytuacji.

Co innego Jaś. Sześcioletni chłopak już myśli i pamięta: pamięta spaceru do Łazienek, picie wody przy okrągłaku z miętowym piernikiem, pamięta sprężynowego bąka, pajaca, bijącego w talerze, jarzącą się choinkę, baszłyk, ciepłą jesionkę, zabawę w śnieżki i ślizgawkę po rynsztoku, której właśnie nadeszła pora. Korzystać jednak z tej uciechy nie może. Ma czapkę włóczkową,

wcale niezłe buty, ale brak mu palta; w lustrynowej zaś kurtce, jedynem ubraniu, zabytku lepszej przeszłości, matka go nie wypuszcza, w obawie choroby, któraby się stała ostatecznem zamięszeniem całej rodziny.

To też Jaś nudzi się śmiertelnie, tłucze się po izbie, jak uwiązany ptak, i wiecznie coś zmajstruje: pluł póty na lampę, patrząc, jak szkiełko syczy, aż pękło; otworzył drzwiczki od komina i spalił podłogę, skaleczył się nożem, o mały włos nie oblał wrzątkiem Stasia; w najniestosowniejszej chwili nawija się matce pod rękę, płacze się pod nogami i zbiera guzy.

Jedyna jego bezpieczna rozrywka polega na przypatrywaniu się przez okienko nogom snujących się przechodniów: oto mignęły kalosze, zawinięte spodnie, koniec laski — pan przeszedł. Wionęła sukienka i drobne nóżki — panienska. Grube buty — robotnik. Czasem zajrzy piesek, powącha szybko i dalej polec; czasem się dłużej zatrzyma, pokręci ogonem, podniesie tylną łapę i załatwi interes, z czego Jaś się mocno cieszy. Najsilniejszych jednak wzruszeń doznaje, gdy zoczy zbite obcasu przyjaciela Kubusia, z którym, gdy było cieplej, poczuł się na podwórku — podwórku, jakby stworzonym ku zabawie, pełnym zakamarków, galeryjek, daszków, schodków i jaskiń śmiecia, obfitych w skarby, gdzie można wygrze-

bać i gwóźdź, i blaszkę, i butelkę, a czasem nawet kawałek podkowy.

Wszystko to jest obecnie, dla braku palta, absolutnie niedostępne. Co gorsza, jedyny wygląd na świat, okienko, robi się matowe i Jaś ledwie rozróżnia przesuwające się cienie. Nieraz nocą zamarza całkowicie w liście, siatki, żyłki i dopiero pod wieczór, gdy nieco w środku odtaje, po żółciejącym malutkim krążku Jaś poznaje, że skończył się dzień, noc się zbliża, że nastąpiły na świecie przemiany, niedostrzegalne niemal w ich stale mrocznej piwnicy. Ten brak światła zbrzydził mu nader przyjemną rozrywkę — puszczanie baniek z mydła—próbował, ale kule, grające tak ślicznie w słońcu kolorami tęczy i barwnymi odbiciami przedmiotów, tu wychodziły szare, mętne, podobne do pęcherzy, nie chciały latać, a gdy je sadzał Stasiowi na głowę, robiły klapę i brudną wodą spływały bratu za kołnierz. Staś się rozbechał, matka się zgniewała i odebrała spodek.

Jaś czuje, że mu jest źle; izba ciasna—ani rusz się rozpędzić, niema gdzie podskoczyć, kozła fiknąć; przekłeta balja nietylko kradnie mu przestrzeń, ale przez intrygujący go mocno swój czop, staje się przyczyną strasznej katastrofy — zalania całej suteryny i formalnego „na gólkę” skórobicia...

Czego się dotknie, wszystko jest zakazane: i że-

lazko do prasowania, i deska, i smoczek Julci, z któregoby można zrobić niezłą strzykawkę.

To też Jaś się buntuje i kiedyś, gdy matka zabroniła mu kręcić wyżymaczkę, nabzdyczył się i oburknął hardo:

— Więc cóż ja mam robić?

— Zdychaj! — zabrzmiała dziko i gwałtownie odpowiedź.

Pani Janina pochyliła się nad balją i Jaś widział, jak nagle zwisła jej głowa i zaczęły się wstrząsać łopatki. Potem złapała kubel, wyleciała po wodę, bawiła dość długo i wróciła z wypiekami na twarzy, a co ważniejsze, z metalową trąbką za kilka halerzy.

Radość była wielka, ale niedługa. Trąbka szybko zachrypła, potem wyleciał blaszany jęczyczek, ktoś ją rozdeptał i matka, wymiatając szczątki, zrobiła Jasiowi ostrą uwagę, że nic uszanować nie umie.

...Co mam szanować, kiedy nie trąbi! — pomyślał Jaś, westchnął i zaczęły mu krążyć w głowie mętne pojęcia o tem, że coś się pokręciło na świecie: przyszli w nocy, wzięli mamusię i tatuś — potem ich rozebrali między sobą sąsiedzi; teraz tatuś gdzieś się zapodział, mamusia, niewiadomo poco, przywlokła się z niemi do tego Krakowa i zamiast siedzieć na „Komunie”, gdzie było przynajmniej dużo ludzi, zamknęła się w piw-

nicy i pierze to łachy, to jego naprzemian... Nikt u nich nie bywa. Jedna panna Marja czasem zaleci, da adres nowej bielizny do wzięcia, spyta Stasia, czy daleko jeszcze do Warszawy, spojrzy na niego, powie: — „Ach, ty wisusie, wartoby ci palto wytrzasnąć!” — i ucieka. Matka nazywa ją opatrnością.

Jaś wogóle nie wie dokładnie, co to jest opatrność, a już do takiej, co w sprawie palta trzaska bez skutku, nie żywi najmniejszego zaufania. Nie wiara jego w potęgę panny Marji jest z gruntu fałszywa. Panna Marja, jak prawdziwa opatrność, bytuje wszędzie: i w „Secesji“, i u Michalika, i na Plantach, i w hotelach—na każdym miejscu zjawia się, jak z pod ziemi, przed struchlałą kieszonią sympatyka czy towarzysza i zatruwa mu spokój sumienia składką na emigrantów. Bierze datki i w gotówce, i w naturze; jak handlarz starzyzna, obiera z podniszczonej garderoby płci obie i nijaką i przyodziewa w nią swych klientów z za kordonu. Jest niezmordowaną i nie zna liłości! Osoba jej wznieca popłoch zarówno wśród zahartownych na jej ciosy przybyszów z Królestwa, jak niedoświadczonych cesarsko-królewskich obywateli.

Święta, pogrzeb, urodziny czy ślub, najmniej pozór uroczystości staje się dla niej odpowiednim pretekstem do podniecenia słabnącej ofiarności.

Obecnie właśnie podwładne jej panny, które trzyma w rygorze i posłuchu, otrzymały kategoryczny nakaz wydobycia choćby „z pod ziemi“ dzieciennego palta—cyrkularze i listy w tej sprawie krążą od Krakowa aż po Zakopane.

Jaś o niczem nie wie, to też, dostrzegłszy przez swe obserwatorium charakterystyczny ruch spódnicy i zdeptane trzewiki, zawiadamia obojętnie matkę, że panna Marja „sypie“. Matka lubi te odwiedziny: w obcowaniu z panną Marją pominają jej się minione czasy, przestaje być poniewieraną praczką i staje się na nowo „Janiną, wtajemniczoną w bieg spraw“.

Padają niezrozumiałe dla Jasia wyrazy: *cekaer, kazet, rob*, kryjące dlań jakieś niepojęte jeszcze tajemnice, które—czuje to intuicyjnie—znajdują się w pewnym związku z kolejami losów jego i rodziców.

Tym razem jednak zjawienie się panny Marji staje się dla niego długotrwałym transem silnych wzruszeń. Bo oto wchodzi z tobołkiem w rękę i od progu woła:

— Jasiu, jest tu coś dla ciebie!

Odwija się węzelek, z którego przed błyszczącymi ciekawością oczyma chłopca wylania się granatowe sukno, rogowe guziki, futrzany kołnierz; panna Marja podnosi za wieszak to wszystko i potrząsając paltotem, z triumfującą miną mówi:

— Na wacie i multonie, z prawdziwym fokowym kołnierzem! No, chodź tu, urwisie, przymierzmy

Jaś z zapartym oddechem wysuwa się na środek. Daje się ubierać, jak manekin, energicznie obracany to w prawo, to w lewo.

— Znakomicie, jak na obstalunek! co? Janino! Zapnij guzik, nastaw kołnierz!—Pycha, wyglądasz, jak burzuj. A wiesz, co to jest foka? Nie wiesz? Pies morski!

Jaś podaje się mechanicznie rozkazom, czuje delikatne muskanie futerka koło uszu, puls mu biją w skroniach, mieni się na twarzy, poci, jak szczur, nie rozumiejąc jeszcze dokładnie, co to wszystko ma znaczyć.

— No, zdejm, bo się zgrzejesz.

Panna Marja ściąga mu futro, wręcza pani Janinie i zabiera się do odejścia.

— Podziękuj! — odzywa się matka, patrząc na dziecko z uczuciem radości, pomieszanej ze smutkiem, że jałmużną posiłkować się musi.

Jaś sterczy, jak słupek. Nie wierzy swemu szczęściu, w głowie mu się mąci i dopiero po wyjściu panny Marji zdobywa się na zdanie:

— Więc to naprawdę moje?!...

— Twoje, twoje — potwierdza szybko matka, ogląda przy lampce prezent, wzdycha i wynosi do sionki, zalewa bieliznę na noc i zabiera się do

szykowania posłania. Sama sypia z młodszym rodzeństwem na łóżko. Jaś ma własny sienniczek pod ścianą, gdzie pomimo pewnej dozy wilgoci i chłodu, wysypia się, jak susel.

Teraz jednak zasnąć nie może. Jest rozgorączkowany, podniecony i niespokojny. Losy palta w sieni są bardzo niepewne... w drzwiach jest okienko, złodziej wybije szybkę — szust! i po wszystkim...

Każdy szelest wznieca w nim podejrzenia i trwogę, poty nań biją. Wreszcie zdobywa się na krok stanowczy; wstaje i na bosaka, w krótkiej koszulce skrada się ostrożnie do sionki... trąca wiadro...

— Gdzie ty łazisz? — odzywa się sennie matka.

Jaś porywa paltocik i drżąc ze wzruszenia, ucieka na swój siennik. Głaszcze futerko, szepcząc pieszczotliwie: — „Kiziu, miziu“ — jak do kota; natrafia na haftkę i wyobrażając sobie, że to pazurki, uderza po nich rączką, powtarzając: — „A psik!“ Wreszcie, wyczerpany wzruszeniami, trzymając palto w objęciach, zasypia.

Nazajutrz buja po podwórku, jak szalony. Jest tu jego rówieśnik Kubuś, Lejbuś, syn handlarza, ospowaty Antek zprzeciwka, przewiskiem „Skubent“, bo nosi czapkę uczniowską, i Michaś, syn introligatora, zwany „Makolągwą“.

Cała gromadka podziwia palto Jasia: wielkie rogowe guziki, a szczególnie kołnierz z psa morskiego. Ten pies morski staje się przedmiotem nie-

tylko najżywszego zainteresowania, ale i sprzeczki.

Kubuś dowodzi, że pies nie może mieć na imię foka, a tylko suka.

„Skubent“ powątpiewa o możliwości istnienia psów w morzu.

„Makolągwa“ liże futerko i oświadcza, że nie jest słone.

— Jak Boga kocham—zaklina się Jaś — panna Marja mówiła.

Dotknięty jest do tego stopnia, że gotów się założyć.

— Dobrze!—o co?—stawia się „Skubent“.

— O dwa prztyki w nos.

Zakład staje. Lejbuś przecina ręce, świadkiem zakładu jest Kubuś; rozstrzygającym autorytetem ma być pan Fajtalski, cesarsko-królewski urzędnik magistratu, zwany w kamienicy „profesorem“, gdyż przygotowywał syna gospodarza do drugiej klasy.

Pan Fajtalski lada chwila wyjdzie do biura i dzieciarnia, trzymająca w oblężeniu schody, skraca sobie czas ssaniem sopli z lodu. Wreszcie w głębokich kaloszach, z teczką pod pachą, ukazuje się miejscowa powaga. Chłopcy otaczają go kołem.

— Proszę pana profesora — interpeluje śmiało „Skubent“—czy jest suka morska?

— Suka?—zastanawia się pan profesor, poprawiając okulary.—Nie!—odpowiada po namyśle.

— Zyg, zyg, zyg!—wybuchają docinki.

— Foka, foka!—woła rozpaczliwie Jaś.

— Ah! foka! A jakże, jest—odpowiada pan Fajtalski.—Pies morski istnieje.

— I zaczyna wykład:

— Rząd V, czteropletowce, foka vitulina, w dalekich morzach północy; do tego rzędu należy...

Ale audytorjum zajęte jest czem innem.

„Skubent“ chciwie nadstawia nos.

— Eins!—liczy Lejbuś.

— Zwei!—Prztyk drugi.

— Dreil

Jaś nie może się powstrzymać i wymierza cios trzeci.

— Świnia! Oszukaniec! — rzuca się zaperzony „Skubent“.

— Bo poco on powiedział drei?—broni się zawstydzony Jaś.

— No, czego ty się pichasz, łobuz!—woła napadnięty Lejbuś—nie możesz mu dać reszty?

Argument trafia wszystkim do przekonania. Jaś wyciąga nos i otrzymuje potężnego szcztuka, aż mu świeczki w oczach stają. Wie jednak, jak się należy zachować w takich razach. Okręca się na pięcie, by ukryć łzy, i mówi:

— Wcale mnie nie bolało.

Honor jego i palta jest uratowany; nikt już nie

wątpi o pochodzeniu kołnierza i Jaś zyskuje przydomek „Foki“.

„Foka“, mniej szczęśliwy w walce na śnieżki, odznacza się zato na ślizgawce. Prócz jazdy na jednej nodze, popisuje się nieznanym sposobem w kucki i szewca po warszawsku—z jednym zgiętym kolaniem, na którym naśladuje rękoma bicie młotkiem i szycie dratwą. W turnieju: „kto dalej plunie?“—również zwycięża, umie bowiem strzykać przez zęby, jak warszawski dorożkarz. Te przechwałki warszawskie, fanfaronada Królewiana drażnią Galicjan, a czupurnie zanucona strofka:

„Świeci się Warszawa, jak jedwabna nitka.

Za Warszawę—sto tysięcy, a za Kraków—dydka...”

mało co nie doprowadziła do bójki.

Medjatorem staje się międzydzielnicowo nastrojony Lejbuś, co mu się tem łatwiej udaje, że na podwórzu zjawia się katarzyniarz ze szczygłem, ciągnącym losy wyroczni.

Zawołany na obiad, Jaś wnosi do piwnicy rozpromienione, czerwone od mrozu policzki, iskrzące się oczy i sinawy nosek; jak wilk, pochłania żur z kartoflami i pomimo dodatku pajdy chleba, czuje się trochę przyglodny.

Po obiedzie odkrywa w kieszeni paltota skarb—długi sznurek i skórkowe rękawiczki. Z części sznurka sztyftuje Stasiowi bat. Rękawiczki oka-

zują się mniej użyteczne, gdyż ilekroć chce je włożyć, brak mu zawsze palca, zato wydymanie ich sprawia komiczny efekt puchnącej ręki.

Przed wieczorem raz jeszcze wyprasza się na podwórze. Koledzy gdzieś się rozbiegli; wysuwa się tedy na ulicę i stojąc przed bramą z wypiętym brzuszkiem i rękami w kieszeni, obserwuje wrażenie, jakie czyni na przechodniach jego pyszny paltocik. Nawet stójkowy z mosiężnym półksiężcem pod szyją zwrócił uwagę, przygląda się i zbliża; ale nie w ciemie bity Jaś unika bliższych stosunków z „salcesonem“, wydaje przeciągły gwizd i znika w czeluściach bramy. Na noc paltocik wisi już na specjalnie przybitym ćwieku, w pobliżu siennika. Jaś jest spokojny, przytem zbiegany i upojony świeżem powietrzem, szybko więc zasypia.

Jest późno. Szeleszczą oddechy dziecinne, a pani Janina układa wykończoną bieliznę. Jutro, korzystając z niedzieli, odstawi ją na miejsce. Wedle jej obrachunku, należeć się będzie zgórą pięć guldenów. Z tego dwa wyda na przypadającą już dziś właściwie ratę mieszkaniową—termin najcięższy, bo przed pierwszym, któremu pod groźbą „wylania“ niewolno uchybić; reszta pozostanie na bieżące wydatki.

Z wykonania roboty Janina rada nie jest: kolory puściły i poplamily białe sztuki, gorszy ko-

szuli są za sztywne, jak deski, a jedna—najpiękniejsza, w zakładki—została nieco spalona i nosi fatalną, półokrągłą, żółtą plamę.

Pani Janina stara się, jak może, ale jest nowicjuską w swoim zawodzie, nie może utrafić dozy krochmalu, nie rozumie, że kolory należy prać oddzielnie i broń Boże, w sodzie.

Szkody porobione niepokoją ją cokolwiek, ale pociesza się, że jakoś to będzie. Jej wielokrotnie sponiewierana ambicja straciła wrażliwość na połajanki, to też, myśląc o jutrzejszej przeprawie, niedawna patrycjuszka przedmieścia czuje, że zniesie z rezygnacją najbrutalniejsze wymyślania, byle tylko zapłacili.

Kładzie się, ale usnąć nie może. Oblicza wydatki, przypuszczalne dochody; przychodzi jej na myśl, że Jaś mógłby teraz zając się sprzedażą gazet: ma stosunki w „Naprzodzie”—kusi ją możliwość zarobienia przez chłopca paru szóstek, ale jednocześnie obawia się, że płatanie się po ulicach może zdemoralizować chłopaka.

Przypomina jej się list męża. Gdyby tak zdobyć gdzie czterdzieści rubli, mógłby tu być. Tęskno jej—ciężko bez niego... Chętnieby go widzieć chciała, jak Pan Bóg przykazał, bo jest jak się patrzy... Czuje się za młodą na wdowę.

Myśli jej się płaczą, głowa zachodzi mgłami,

otwiera się zwolna otchłań, w którą stopniowo wiedza i pamięć zapadają.

Ranek niedzielny Jaś musi przepędzić w mieszkaniu. Matka idzie odnieść bieliznę, on więc musi pilnować młodszego rodzeństwa i wsadzić Julci w ręce, gdy się zbudzi, butelkę z mlekiem. By urwis nie uciekł, drzwi zostają zamknięte na klucz.

Jaś skracza sobie oczekiwanie bębnieniem po wiadrze i bieganiem w pustej balji. W pewnym momencie przerywa mu zabawę stróż, który oświadcza przez drzwi, że gospodarz upomina się o komorne.

— A jakże — odpowiada rezolutnie Jaś — jak rak świśnie na oborzel...—i czując się bezpiecznym, pokazuje przez szybkę język swemu prześladowcy za chowanie miotły i zbytki na podwórzu.

Stróż klnie. Jaś, widząc, że śnieg spadł, można więc będzie lepić bałwana, otwiera drzwiczki od pieca i wybiera odpowiednie węgielki na nos, oczy i usta. Chowając zdobycz do pałta, spostrzega z brzegu podszewki rozprucie. Robi mu się gorąco. Czyżby rozdarł?!... Zapuszcza rączkę. Nie, to głęboka kieszeń, a na dnie płaski, okrągły przedmiocik. Wyciąga: lusterko z jednej strony, z drugiej za szkłem mikroskopijna myszka i dwie malutkie pułapki. Sztuka polega na tem, by potrząśnięciem lusterka wpędzić mysz w pułapkę. Zabawa ta pochłania tak całkowicie chłopca,

że nie słyszy otwierania drzwi i dopiero spostrzegłszy matkę na progu, rzuca się z radosnym okrzykiem:

— Mamusiul! co ja w palcie znalazłem!

Ale matka go odtrąca. Jaś spogląda na jej twarz i w mgnieniu oka gaśnie. Z wyrazów jej rysów umie już zgadywać zapowiedzi nieszczęścia.

Usta pani Janiny są blade i zaciśnięte, na policzkach ceglaste wypieki, oczy podkrążone sińcami i jakby w głąb zapadłe. Siada ciężko na łóżku i kurczowo zaplata palce na palce.

Przecucia chłopca nie mylą. Matka została strasznie zwymyślaną i po wytrąceniu za szkody, otrzymała ledwie kilka szóstek odczepnego.

Była po ratunek u panny Marji, ale ta wyjechała na dni kilka. W bramie spotkała się z gospodarzem, prosiła, dawała mu koronę—ale wziąć nie chciał i przy niej zapowiedział stróżowi, by jutro do południa suterena była wolna—ma już bowiem kandydata.

...Co robić?...—tłuką jej się po głowie rozbite myśli, aż w skroniach trzeszczy. Sprzedać narzędzi pracy niepodobna, po za tem nic prawie nie ma. Rozgląda się płonąciami gorączką oczyma po izbie—pustki... Staś na kuferku, Julcia na łóżku—dzieci nikt nie kupi...

...Powiesić się... napalić tego w piecu i zasunąć

szyber...—przeszywają jej mózg, jak ostre błyskawice, mordercze myśli... Sprzedać wszystko...

Zawrzało jej w piersiach, skłębił się głuchy gniew, zatargały sercem mściwe, złe uczucia— a potem opadło wszystko i nastąpiły minuty śmiertelnego znużenia.

Jaś tymczasem wymknął się na podwórko. Tam Kubuś i „Makolągwa“ taczają już korpus. Jaś zabiera się do głowy. Zabawa ta porywa go całkowicie. Zapomina o wszystkim, nawet o lusterku. Śnieg lepi się, jak wosk; głowa rośnie w rękach, wielka, okrągła, coraz cięższa, wyborna. Dźwiga ją, czerwony z wysiłku, rozpromieniony z radości. Jest tak zajęty, że nie widzi matki, dążącej do ojca Lejbusia, Szmula, handlarza starzyzną.

Rozmawiają. Stary żyd potrząsa głową, rozkłada ręce—idzie z matką do piwnicy. Ogląda jakieś lachy, obmacuje i oddaje obojętnie. Coś żywo gadają.

— Tobym może kupić—wskazuje żyd ręką na Jasia.

Pani Janina spogląda nań przerażonemi oczyma. W drżących ustach, jakby otrutych podsuniętą myślą, targa się wyraz gwałtownego protestu.

— Nie, nie!—powtarza głośno, a jednocześnie w głowie huczy myśl, że ratować rodzinę musi... musi, choćby miała paść trupem...

— No, więc jak będzie?—odzywa się Jyd.

Pani Janina opiera się o ścianę, jakby w obawie, by nie upaść. Potem prostuje się nagle i z akcentem przejmującym, niemal tragicznym, wykrzykuje:

— Jasiu!

— Zaraz!—odpowiada chłopak. Wprawia bałwanowi oczy z węgielków, kończy nos i rozradowany, w podskokach wpada z impetem do sionki.

Pani Janina, papierowo blada, z łopoczącymi, jak w febrze, ustami, rozpina pośpiesznie guziki... ręce jej się trzęsą, doświadcza strasznych, dzikich uczuć, jakby obierała rodzone dziecko ze skóry... zrywa z syna palto, wpycha go do izby i zapiera swą osobą drzwi.

Oszołomiony Jaś stoi za progiem i słyszy zawzięty targ.

— Piątkę!

— Nu, pani chyba żartuje?

— Przecież to całkiem porządne.

— Dwa—dać mogę.

— Co, dwa?! Sam kołnierz...

Na dźwięk tego wyrazu zimny dreszcz przebiega krzyż Jasia... wyteża słuch.

— Trzy!

— Dwa i trzy szóstki—na moje sumienie...

— Nie!

— No, niech stracę!...

Brzęk liczonych pieniędzy, potem cisza.

Matka gdzieś idzie. Wraca wyczerpana, jak zbita, siada na łóżku i zwija machinalnie papierowy kwitek, trzymany w ręku.

Jasia ogarnia silny niepokój; przeczuwa, że zaszło coś niezwykłego, że w niezrozumiałą historję wplątany został paltocik... patrzy zpodłba na matkę i twarzyczka jego staje się niedziecinnie posępną.

Matka siedzi, bezmyślnie zapatrzona niby ślepiem oczyma w ścianę. Czuje się wyzutą z resztek sił. Łza za łzą spływa po zmarnowanych policzkach.

— Mamol!

— Co?—budzi się Janina.

— Czy ja mogę pójść po lusterko?

— Lusterko... lusterko... jakie lusterko?

— Z myszką. Zostawiłem w palcie.

— Nie, nie!—zrywa się pani Janina, zamyka drzwi na zaszczipkę, przypomina sobie... i wybucha gwałtownym, histerycznym płaczem.

— Ja chcę lusterka! — kategorycznie, niemal zuchwale krzyczy Jaś.

— Dobrze, dobrze... jutro, jutro...—przez łkanie bąka matka... Odbiorę—myśli w duchu — jutro... na pewno... dziś późno... — Jeść waw się chce, prawda?

Zaczyna się śpiesznie krzątać po izbie, kraje

chleb, rozlewa mleko. Sama jedzenia tknąć nie może.

W serce Jasia wstępuje otucha: jeśli jest lustro, to i paltocik być musi. Nie może jednak pozbyć się pewnych wątpliwości, patrzy podejrzliwie na matkę: zachowanie się jej jest tak dziwne. Poco Szmul przychodził? Dlaczego palto jest w sionce, a nie na właściwym miejscu?... Tam przecież zginąć może.

Chleb przestaje mu smakować i więźnie w gardle.

Spogląda znowu badawczo w twarz matki, która wyraźnie unika jego wzroku.

— Mamusiu—odrywa się raptem — jak to się mówi, jeśli co zginie? Święty Antoni...

— Padewski...—i pani Janina cytuje machinalnie całą modlitewkę.

— I znajdzie się zawsze?—dopytuje się dziecko...

— Tak mówią--brzmi głucha odpowiedź—i pani Janina rozbiera Stasia, zaściela pościel, każe się kłaść Jasiowi i gasi lampę.

W izbie robi się ciemno, jak w grobie.

Jaś nie śpi...

...Muszę się przekonać...—myśli.

Słyszy, że matka wstaje, stąpają jej bose nogi, zbliżają się w jego stronę; nakryty zostaje ciepłą chustką i spada mu raptem na usta mocny, gorący pocałunek drżących płaczem warg.

Serce Jasia zamiera, a potem ściska się spazmatycznie, jak kleszczami ujęte. Mętnie odczuwa w tym pocałunku i miłość; i jakby zdradę, napelniającą go niezmiernem rozczuleniem i strasznym, niepojętym żalem.

Leży skurczony, patrzy rozwartemi oczyma w tępą ciemność piwnicy i nieruchomo czeka, aż wszyscy zasną.

Słyszy regularne oddechy. Lekko przerażony, z mrowieniem w piersiach, z uczuciem jakby obcego chłodnego powiewu pod sercem wstaje i skrada się ostrożnie. Omija zręcznie przeszkody, odmyka zaszczipkę i wsuwa się w zimno sieni.

„— Święty Antoni Padewski,
Obywatelu niebieski,
Jak twoja sława słynie,
Tak moja zguba nie zginie...”

szepczą strwożone usta i szukają po ścianach małe rączki.

Kolek pierwszy—miotelka.

Kolek drugi—ścierka.

Kolek trzeci—pusty!...

— Święty Antoni!—gorąco i namiętnie modli się chłopak, maca po wszystkich kątach, błakając się w nieprzeniknionych ciemnościach. Słania się i zawraca do izby, wodzi dokoła rękoma, zbliża się z umarłą nadzieją do ostatniego punktu, gdzie

może stać się cud odszukania zguby. Trafia na mur wilgotny, wspina się na palce i rani dłoń o gwóźdź! Paltocika niema...

☉ Zastyga w nim na moment wszystko... serce się kuli... w głowie robi się przerażająca pustka...

Zaczynają mu trząść się ręce i kolana, drgać zebra i łopatki. Dzieciak dygocze, jak trzcina na wicherze, targany łkaniem. Chlipiący, dławiony łzami płacz jego, żalosny i rozdzierający, tuła się samotnie, jak bezradne nieszczęście, w ponurych ciemnościach podziemia...

BARYKADA (z *Leona Frapié*)

Sir Karol Bulton, uczony angielski, znany powszechnie psycholog, podróżuje po całym świecie i bada „duszę dziecięcą” różnych narodów, by uchwycić zasadnicze cechy ich charakteru.

Metoda, którą się posługuje, jest dość oryginalna: mianowicie w każdym kraju poleca on nauczycielowi lub nauczycielce opowiedzieć dzieciom pewną własnego pomysłu powiastkę, tak prostą, iż jest dostępna pojęciu najmniej rozwiniętych dzieci. Sam zaś obserwuje, jakie powiastka wywiera wrażenie i stosownie do tego, jak została przyjęta, wytwarza sobie pojęcie o właściwościach duszy danego narodu.

Zwiedziwszy rozmaite kolonje, Chicago, Melbourne, Tokio, sir Bulton przybył wreszcie do Paryża. Dotychczas, jak mówiono, doświadczenia Anglika nie dały żadnych pozytywnych, namacalnych rezultatów, powiastka jego—ten próbny kamień—

przyjmowana była przez małych słuchaczy dość obojętnie, bez śladu żywszych wzruszeń.

W Paryżu sir Bultonowi polecono dla doświadczenia ochronkę w dzielnicy „kamieniarzy“, na przedmieściu, zamieszkanem przez robotników.

Personel szkoły, zawiadomiony zawczasu o wizycie Anglika, przygotowywał się pośpiesznie na przyjęcie czcigodnego gościa. Naszuwaksowane obficie, niż zwykle, obuwie dzieci lśniło się, końce bucików, zazwyczaj podejrzane matowe, świadczyły blaskiem, że się i po nich przejechała glansująca szczotka.

Ani przełożona, ani nauczycielki nie знаły dokładnie celu wizyty, co potęgowało wzruszenie.

Wiedziały jedynie, że mają być dokonane jakieś głębokie studia nad powierzoną ich opiece działywą przez znakomitego uczonego-specjalistę.

Z tego powodu przełożona uważała za stosowne zaapelować do swych pupilów i zebrawszy wszystkie trzy klasy do jednej sali, wygłosiła następującą, jakkolwiek obracającą się w sferze ogólników, niemniej jednak przekonującą przemowę:

— Pan, który dziś nas odwiedzi, ogląda, podobnie jak naszą szkołę, wszystkie inne, widział już albo zobaczy małych Niemców, Włochów, małych murzynków i malutkich Japończyków. A wiecie, dlaczego to robi? Oto pragnie się przekonać, czyje dzieci są najroztropniejsze na świecie. Aże-

by jednak być pierwszym na świecie, trzeba być grzecznym, zachowywać się cicho, nie dokazywać, nie wyprawiać krzyków, nie bić się, prowadzić się skromnie i przyzwoicie. A wówczas sir Karol Bulton powie, że nigdzie nie spotykał tak miłej, posłusznej i przykładnej dziatwy, jak tutaj, że nie widział tak grzecznej i obyczajnej szkoły, jak nasza. I skoro go kto zapyta:—„Czyje dzieci są najlepsze na świecie?“—odpowie bez namysłu:—„Oczywiście, dzieci z ochronki w dzielnicy kamieniarzy“.

* * *

Korzystając z pauzy, przeznaczonej na śniadanie, przełożona wyszła, by otrzymać ostateczne instrukcje od inspektora szkół początkowych, który żywo się interesował przedsięwziętami przez Anglika doświadczeniami. Zanim jednak zdążyła wrócić, zjawił się sir Karol Bulton i poprosił, by go zaprowadzono do klasy starszych, to jest dzieci od lat sześciu do siedmiu.

Pomocnica przełożonej, prowadząca tę klasę, panna Bord, przerwała lekcję, by przyjąć gościa.

Była to osoba subtelna, smukła, ubrana całkowicie na czarno, a matową, bladą twarzą i szlachetnymi rysami przypominała obrazy Madonny.

Patrząc na nią, sir Bulton miał wrażenie, że jej regularna, klasyczna piękność dziwnie harmonizuje z prawidłowością mechanizmu całej szkoły,

którą odczuł całą istotą, zaledwie przestąpił próg gmachu.

Rzeczywiście, dyscyplina była wyjątkowa, wprost idealna.

Dość było ściągnięcia brwi — a już wszyscy uczniowie stali wyprostowani, ułożeni znakomicie, po jednej stronie klasy dziewczynki, z zawiązanymi zręcznie i szykownie kokardkami we włosach, po drugiej — chłopczyki, których wichrowate czupryny, widocznie pod wpływem uroczystej chwili, uległy posłusznym energicznym pociągnięciom mokrej szczotki.

Ledwie dostrzegalny ruch — i wszystkie bez żadnego hałasu usiadły na ławkach.

Słowem, porządek — bezprzykładowy, wzorowy.

* * *

Sir Bulton zaczyna cicho rozmawiać z panną Bord, której twarz, jakgdyby dotychczas zamglona niepokojem nieznanego zadania, wyjaśnia się powoli. Potakuje zgodnie ruchem głowy i uśmiecha się. Trudno o rzecz prostszą. Chodzi jedynie o to, by opowiedzieć, ilustrując rysunkami na czarnej tablicy, najzwyczajszą pogadankę o baranie — powszechnie znanem zwierzęciu domowem. Tak! tak! Nic więcej, ogólnie znane wiadomości o tem potulnem, łagodnem i tak pożytecznem dla człowieka przez wełnę, mleko i mięso, stworzeniu.

Jeden tylko szczegół, z naciskiem podkreślony przez sir Karola, niepokoi cokolwiek pannę Bord. Mimowoli wzrok jej ślizga się po tylnych szeregach dzieci, niedbale uczesanych, lecz szybko uspakaja się i twarz jej staje się jasna, pełna gotowości, uprzedzająco uprzejma.

Dla sir Karola stawiają krzesło w kącie, na równi ze stołem nauczycielki — i lekcja się rozpoczyna.

Obecność czcigodnego gościa nie rozprasza uwagi dzieci, co możnaby poczytywać za nowy dowód dobrego ułożenia i zbawczej dyscypliny.

W danym jednak wypadku idealny sposób bycia dzieci jest w znacznym stopniu, jeśli niezupełnie — zasługą panny Bord, znakomitej rysowniczkii i utalentowanej mówczyni.

Oto na tle ślicznego pajzażu naszkicowała baranka. Głos jej, sposób mówienia, rzecz można, nadaje koloryt, ożywia rysunek, jakgdyby wlewa nowy sens i świeże barwy w najzwyczajniejsze banalne opisy i znane formy.

Wkrótce zainteresowanie się wzmacnia, dzięki ukazaniu się na tablicy owcy-matki, przyczem dzieci dowiadują się o tak ciekawych szczegółach, że niektóre gatunki serów, jak na przykład, rokford, wyrabiają się nie z krowiego, a z owczego mleka.

Wreszcie — i tu zaciekawienie dosięga zenitu —

przed oczyma dzieci zjawia się jagniątko, zupełnie białe, które zdaje się podskakiwać, bawić się i tkliwie beczeć, małe jagniątko, takie pocieszne, taka ślicznotka, że twarzyczki dziecięce zdają się rozplwać w rozkosznym uśmiechu, a wargi mimowoli składają się, by ucałować to cudne maleństwo! Wśród martwej ciszy główki dziecięce wyciągają się chciwie, napięta uwaga ściąga brewki, drga w skrzydełkach nozdrzu, rozciąga kąty ust.

Słowa chwywane są w locie, ich sens wyczerpywany do dna z chciwym pośpiechem.

Wtem nagle panna Bord przestaje rysować i zwraca się do klasy.

Twarcz jej—przed chwilą tak ruchliwa i wyrazista—zastyga do tego stopnia w surowym, nieruchomym i zimnym pięknie, że staje się jakgdyby zwierciadlanym odbiciem surowej obojętności przyrody, fatalnych, nieuniknionych, żelaznych, nieubłaganych praw świata.

Dzieci zamarły w przeczuciu jakiejś fatalnie nadciągającej grozy.

I w tem grobowym milczeniu dobitne, głuche słowa padały, niby kamienie na dno przepaści:

— A wiecie, dzieci, że trzeba jeść, a mięso zwierząt żywi doskonale, daje siły, współdziała wzrastaniu. I wy wszyscy zapewne lubicie kotleciki i pieczeń baranią z kartofelkami. Otóż, jeżeli natura nakazuje, jeśli świat jest tak urządzony,

że ludzie karmią się stworzeniami, niema rady! trzeba będzie zarżnąć nasze jagniątko.

Zdawało się, że w panującą ciężką ciszę wtargnęła fala ciszy jeszcze większej.

Dzieci wstrzymały oddech.

Nauczycielka tymczasem zwróciła się ku tablicy i zaczęła ponownie rysować.

— Mamy zamiar zarżnąć jagniątko, musimy więc zrobić odpowiednie przygotowania: ten budynek—to szlachtuz, oto—sznur i hak, na którym powiesimy baranka, ten pień—będzie jakgdyby szafotem, na którym poćwiertujemy jego ciało, a oto nóż...

Przerwała, gdyż zjawił się służący z raportem, iż przybyła przełożona z samym panem inspektorem, który pragnie zaszczyścić osobistą obecnością wizytację sir Karola Bultona, wobec czego przełożona prosi, by panna Bord zechciała zaprowadzić sir Karola do gabinetu przyjąć dla przedstawienia mu pana inspektora.

Panna Bord szybko położyła kredę i wskazała drogę znakomitemu gościowi, który powstał z krzesła z całą gotowością dobrze wychowanego Anglika.

Klasa na kilka minut pozostała bez dozoru.

* * *

Skoro sir Karol Bulton w towarzystwie pana inspektora i przełożonej z całym ceremonjałem

oficjalnego przyjęcia zjawił się ponownie na progu klasy, ciężki stół panny Bord—ten centralny punkt i jakby fort władzy państwowej—leżał przewrócony na bok, naokoło czarnej tablicy z wyrysowaniem jagniątkiem z poprzesoszonych i spiętrzonych ławek wznosiła się barykada.

Wokoło tej, jakby z ziemi wyrosłej fortecy tłumił się z lewej i prawej strony, z przodu i z tyłu wszystkich mały lud klasy.

Poprzez szczeliny barykady błyszczały groźne dziesiątki oczu dziecięcych, niby drobne otwory łuf, gotowych do strzału. Sympatyczny Adam—pierwszy urwis klasy—z gęstą, buntowniczo nastroszoną, jasnobloną czupryną, z twarzą wołu i herkulesową budową małego niedźwiadka, stał pośrodku, obok stołu panny Bord, a tyłem do barykady i zdawał się obejmować komendę.

Jakoż, zanim przybyli dorośli, zdołali się opamiętać, Adam, zadartszy wtył głowę, z wysuniętym podbródkiem, z podniesionymi ramionami, z napiętymi mięśniami rąk, instynktownie zaciskając pięście, rzucił im na spotkanie ze swym akcentem z przedmieścia rewolucyjny okrzyk:

— My nie damy zarżnąć jagniątku!

Sir Karol szybkim, porywczym gestem powstrzymał przełożoną i inspektora, którzy byli gotowi, jak wypadło, wmieszać się do sprawy, i po-

prosił o chwilę swobody, by rozejrzeć się i zrozumieć o co chodzi.

I sir Karol powiódł po klasie swem poważnym spojrzeniem, majestatycznym i przenikliwym, nabytem wskutek głębokich rozmyślań i dociekań nad życiem wielu narodów na rozmaitych szczeblach cywilizacji.

Zgiełk głosów, nierozczłonkowany wibracją dźwięków zadrgała w ciszy klasy po okrzyku Adama. Wszystkie oczy, wszystkie usta, wszystkie krtanie, policzki, napięte i drżące, powtarzały z zachwalstwem rozpacz jedno zdanie:

— My nie damy zabić jagniątku!

...Oho! — pomyślał sir Karol—więc to znaczy, że cały ten mały narodek powstał, jak jeden mąż, by bronić niewinnej ofiary.

I nagle szlachetny Anglik doznał wrażenia, że w tych dziecięcych okrzykach dzwoni mu głos całej rasy.

Każda dziecinna twarzyczka krzyczała po swojemu: jedne z siłą, inne błagalnie; przerażone lub uciśnione, ale wszystko zlewało się w jeden potężny, porywający protest przeciw wszelkiemu zamachowi na niewinną ofiarę.

Wzrok sir Karola jął badać poszczególne grupy.

Z różnolitej mieszaniny chłopców i dziewcząt wylawiał najbardziej jaskrawe typy.

Oto silne, otwarcie zdecydowane, jak Adam, oto dzikie, pokornie lękliwe, ale do okrucieństwa śmiałe, jak Leon Gros.

Ci przedewszystkiem przykuwali uwagę.

Za nimi następował długi szereg wielkich w swej prostocie przedstawicieli macierzyńskiego nerwizmu: Helenka Leblanc, Luiza Clonet i inne. Czułe ich, drżące, filigranowe postacie wzdrygały się od każdego uderzenia wzruszonych serduszek, pozostawały jednak na swych stanowiskach, gotowe paść trupem, jeśli będzie potrzeba.

Ulubienice klasy: ładniutka, zalotna Irma Guepin, Julja Casin protestowały błagalnie z nabożnem oddaniem się, jakby w imię pokrzywdzonego piękna świata, którego były uosobieniem. Ale być może najwyższy stopień piękna patrzył na sir Karola z głęboko zapadniętych oczu, z pod okrytego strupami czoła odepchniętych: Ryszarda, z głową schorzałej małpy, garbusa Widala, Rondalota—chodzącego szkieletu. Z jakimś zaciekleńcem poświęceniem, z dochodzącą do zapamiętania się zawziętością, byli gotowi do upadłego bronić jagniątko, nie dopuścić za nic, by je zabito, jakby ich własne kalectwo było już ostatecznym kresem dostępnej dla człowieka krzywdy.

Również kategoryczne „veto“ malowało się na obliczach nierozwiniętych i zwyrodniałych.

Głęboki tępy ból tkwił w ich wyrazie, niedołężne, zgnębione fałszem i złośliwością losu, zdawały się mówić swem wejrzeniem:

— Jeśli zamordujecie jagniątko, wieczne przekleństwo zacięży nad wami!

Pałające, czerwone słońce spadało przez otwarte okna i zalewało dziatwę, tak, że żaden cień nie zatuszowywał i nie łagodził konturów jaskrawego obrazu.

Widać było, że i najposłuszniesze „benjaminiki“ klasy—primusy—dzieci zamożnych rodzin, którym władze nie szczędziły pochwał, stawiały za wzór, jak na przykład Berta Cadeau, Leon Chezeau, oboje z piersiami, obwieszonemi orderami szkolnemi—ci również uczciwie i otwarcie, stali na barykadzie, żalując może, iż są zmuszone brać udział w buncie, ale rozumiejąc, że inaczej postąpić niepodobna. I dzieci, wiecznie głodne, morzone od urodzenia, których anemiczne policzki domagały się nagwałt mięsa—te wynędniałe, zapadłe twarzyczek i, dzięki którym zyskały przezwiska „Luizy Nienasytki“ i „Karola Głodomora“ — nawet one, z oczyma i rękami zdychającego z głodu wilka, wołały również, iż one nie chcą, nie chciały! Nieprawda jakoby były kiedykolwiek głodne... Łaski! Łaski! Nigdy już nie będą... nie będą więcej głodne! nigdy nie będą się napierały jeść!...

Wreszcie sir Karol na froncie barykady spotkał się ze spojrzeniem równie rozumnem—nie! nieskończenie mędrszem, niż wzrok jego własny.

Tricot ze starczą twarzą, która już poznała wszystko w życiu, Tricot, który z nie dającym się opisać uśmiechem ironji, mawiał o swej matce: — „Mam z nią święty spokój tylko wówczas, gdy mnie bije“. Tricot, bez kołnierzyka, w rozłazącym

się, powiazanem sznurkami obuwiu, przedstawiał obraz istoty stokroć zabijanej i niezmiennie, ku zdumieniu otoczenia, pozostającej wiecznie na właściwym, przynależnym jej miejscu, które jest ośchłąnią łez i niedoli.

Znać było, że gdyby wszyscy jego koledzy rzucili się do ucieczki, onby pozostał na stanowisku sam jeden, jak stoi: z rękoma w kieszeni, w odrzuconym nabok fartuchu, z lachmanem, niby symbol bohaterskiego sztandaru, wyłazającej ze spodni koszuli, zostałby, przeciwstawiając atakowi wroga całkowitą odwagę swego zuchwale zadartego nosa i dobrodusznie gorzkiego uśmiechu kpiących warg:

— Nie damy mordować jagniątk!

I szczerze wzruszony sir Karol Bulton pochylił przed barykadą dumną swą siwą głowę na znak czci, jaką zwykł darzyć w Ameryce, w Japonji, na całym obszarze świata wszelkie mężne przejawy woli narodu.

Następnie majestatycznym ruchem wznosił w górę kapelusz. I tonem bardziej uroczystym, niż ten, którym miał zwyczaj wznosić na dyplomatycznych bankietach zdrowia dygnitarzy, wykrzyknął nacześć dziatwydzielnych kamieniarzy:— „Niech żyją wielkie dzieci wielkiego narodu!“.

REHABILITACJA

Nastuchawszy się opowiadań historycznych o powstaniu listopadowem, liczna dzieciarnia, bawiąca na kolonjach letnich, postanowiła w najbliższą niedzielę odtworzyć przebieg bitwy pod Grochowem.

Cały tydzień trwały przygotowania: strugano pałasze, robiono z pieńków armaty, zbierano cienkie witki, które miały służyć za główny oręż walki, lepiono chorągiewki, kilka papierowych pistoletów miało imitować karabinowe strzały, eksplodujące żabki—huk dział.

Kierownik kolonij, stary historyk, pan Piotrowicz, zwany przez dzieci „naszym panem“, który im w dżdżyste dni o tych dziejach opowiadał, miał być widzem i formalnym dowódcą Radziwillem. Prócz tego, obowiązkiem jego było czuwać, by wszystko odbyło się tak, jak niegdyś naprawdę.

Podczas szykowania broni trwała zgoda, ale gdy przyszło do rozdzielania ról, zaczęły się nastroić niezliczone trudności.

Nikt nie chciał być Dybiczem, nikt—Rosenem i dopiero gruby, flegmatyczny Pawełek i sensat z natury Myryś, gdy im wytłumaczono, że w gruncie rzeczy wroga armja poniosła straty, równające się klęsce, zgodzili się objąć komendę nad przydzieloną im gromadką.

Co do polskich wodzów, to każdy chciał stanąć na czele czwartaków i z tego powodu powstały tak liczne nieporozumienia, że omal cały projekt się nie rozchwiał.

Ale „nasz pan“ zażegnał burzę przez urządzenie losowania; puste kartki miały oznaczać prostych żołnierzy, a z odpowiednimi napisami—generałów.

— Żymirski!—wyciągnął pierwszy Kubuś, który nie marzył o tak wielkim zaszczycie, zaczerwienił się, jak burak, wypiął brzuszek i obciągnął kurteczkę.

Po szeregu pustych, czupurny Stefanek, przeczytawszy swoją, począł tańczyć kółko, jak opętany:

— Bogusławski! — wrzasnął, machnął na trawniku parę kozłów, wreszcie, schwytawszy widły, stanął w pozycji, jak do ataku, i począł wołać raz po raz:

— Mierz wolno, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb, chciałeś rewolucji, psiakrew! to nie chybiał, bo bieda będzie...

Chłopski wypadł Stachowi i ściągnął twarz smu-

kiego chłopca oblekła się w momencie wyrazem niepowседневnej powagi.

Pewne protesty wywołało wyciągnięcie przez złotowłosą Elżunię nazwiska — Prądyński — ale, że była skautką i istotnie roztropną bardzo dziewczynką, wreszcie przez pamięć na Emilję Plater, zgodzono się przyznać jej godność genialnego stratego.

Niewiadomo dlaczego nazwiska Rolanda, Szembeka i Małachowskiego zostały przyjęte przez ogół tak obojętnie, że Wicek, Adaś, a zwłaszcza zadzierzysty Ignas musieli się uciec do protekcji pana Piotrowicza, by przytwierdził, że byli to dzielni wodzowie.

Skrzyneckim został najstarszy uczeń trzeciej klasy—Antoś.

— Nie winszuję—docięła mu Elżunia, nie chciałeś mnie słuchać i wyszedłeś, jak Zabłocki na mydle.

— Jak tam było, to było—odparł—nie bój się, jakby poszło naprawdę, tobym pokazał, co umiem, a zresztą—wyprostował się dumnie—w każdym razie dyktator, to nie to, co kwatermistrz. — Dykurs przerwało wygłaszanie nazwisk:

— Krukowiecki!... Łubieński!

Z kartą pierwszego stał ze spuszczoną głową żywy zwykle, jak iskra, błękitnooki blondynek, Władzio; z nosem na kwintę skręcał swój papiererek kolega i przyjaciel Władka—chuderlawy Zbyszek.

— Małpy!—mijając ich w skoku na jednej nodze, mruknął wódz czwartaków.

Zbyszek nic nie odpowiedział, tylko zacisnął zęby, Władziowi splonęły oczy, potem zbladł i wargi zadrgały mu tak boleśnie, że gdyby pan Piotrowicz to widział, prawdopodobnie zakazałby zabawy.

Wybrani generałowie uszykowali swe oddziały, a „nasz pan“ wytknął stanowiska naokoło skrawka zagajnika, pozostałego po wyrąbanym lesie.

Na huk rzuconej żabki rozpoczął się bój.

Zrazu szło wszystko składnie, ale w miarę tego, jak zapalał ogarniać dzieci, obraz począł odbiegać od rzeczywistości.

Łubieński i Krukowiecki, zamiast stać na miejscu, przysuwali się powoli, zdradzając silne zdenerwowanie. Zamiast Żymirskiego, wysunął się na czoło Stefanek, który wołając co chwila „psia-krew“, był poprostu wszędzie, wystrzelawszy wszystkie kapiszony, złamawszy witkę, porwał ogromną tykę i ani na chwilę nie dopuszczał Dybicza do Olszynki, wysunął się nawet na łękę, wyparł tchórzliwego Pawelka na porębę za stosy drzew.

Zdawało się, że nie Chłopicki dowodzi, ale pułkownik czwartaków.

Ku oburzeniu Elżuni, zabrał w dodatku armaty, których zaszczyt zdobycia miał jej przypaść w udziale.

Z wielkim trudem udało się wreszcie panu Piotrowiczowi odwołać Stefanka, wysunąć na front

Rolanda i Żymirskiego i przywrócić naczelne stanowisko Stachowi.

— Stach, przypomniawszy sobie, że ma jeszcze wojsko, pchnął swych adjutantów, Michałka i znanego z szybkości w nogach Felka, po piechotę Krukowieckiego i jazdę Łubieńskiego.

Na okrzyk: — „Na odsiecz!“ — ruszył Władus, kopnął się z miejsca Zbyszek, ale okrzyk nauczyciela: — „Stać!“ — powstrzymał ich na miejscu.

— Czekamy na rozkazy naczelnego wodza — wymówił następnie Władek.

Gdy chłopcy wrócili z odpowiedzią, Stach podbiegł do „naszego pana“ i zarządził potwierdzenia rozkazu, poczem wygłosił poważnie:

— Dowidzenia waszmościom, jadę teraz zdobywać armaty — i ruszył na plac boju.

Huknęła żabka.

— Masz tu fajtną — odpowiedziała Stachowi przytomna Elżunia i chłopak rozciągnął się, jak długi.

Historyk przeciągłym gwizdnięciem dał znać, że wódz jest ranny i wojska polskie mają się cofać i iść w rozsypkę.

Niechętnie wysypali się chłopcy z lasu, a ośmielelony sygnałem grubego Pawelka, pewny zwycięstwa wdzierał się ze swą podniszczoną armją w zagajnik.

Byli prawie w środku, gdy nagle z obu stron wpadli, jak wichur, Krukowiecki z zaognioną twarzą, a za nim, zasapany, jak miech, Łubieński.

Obaj wodzowie, jak nieprzytomni, walili witkami na prawo i na lewo po głowach, po twarzach, po plecach.

„Z piskiem i krzykiem rozbiegli się rzekomi wrogowie, a Władek, złamawszy witkę, rzucił się na Pawełka i powaliwszy na ziemię, zaczął go bić kulakiem; Zbyszko gniótł kolanami wrzeszczącego Rozena.

Pośpieszył na ratunek pan Piotrowicz, z rozwaniami połamami surduta, sadząc przez krzaki.

— Co to jest? Puście ich!—wołał zdaleka.

Opamiętali się chłopcy.

Podniósł się zwolna Dybicz.

— To wbrew umowie...—chlipał, trzymając się za czerwony policzek.

— Tak nie wolno! — łkał, trąc guz na czole Rosen.

— Tak, to wbrew ugodzie, nie tak stoi w historii—poczęli protestować inni malcy.

Władek i Zbyszko, potargani, bez czapek, które pogubili w pędzie, stanęli winowajczo przed nauczycielem.

— Patrzcie, coście z nich porobili — zaperzył się pan Piotrowicz—przedewszystkiem jakim prawem ruszyliście się z miejsca?

Władus podniósł, świecącą w słońcu, jasną czuprynkę i patrząc błękitnymi oczyma, w których jeszcze świeciły niewygasłe płomienie zapalu, w surową twarz nauczyciela, mówił:

— My nie jesteśmy świnię, byśmy, jak tamci, pozwolili zdobyć Olszynkę.

— Ani małpy...—dodał Zbyszko i nadał się.

Protestujące dzieci umilkły. Strapił się pan Piotrowicz i stał chwilę bezradny, czuł, że powinien ukarać malców za poturbowanie kolegów, ale nie mógł.

— Dzieci—rzekł po namyśle—co mam im za to zrobić?

Zapanowała chwilowa cisza, aż wreszcie Stefan, warknąwszy ulubione od dzisiaj swoje „psia-krew“, zawołał:

— Tęgo się spisał! wgórę ich!

— Wgórę! — powtórzyli starsi chłopcy, porwali obu malców na ramiona i nieśli triumfalnie przez lasek, młodsze dzieci w podskokach towarzyszyły pochodowi, wkrótce przyłączyła się z okrzykami — Wiwat! — rozsypana armja domniemanych nieprzyjaciół, a wreszcie ze śladami jeszcze nie wysłych łez, Dybicz i nieco kulejący Rosen.

Tylko stary historyk stał nieruchomy na miejscu...

Patrzył, jak przez sen, na tę dziecięcą rehabilitację występnych wodzów, siwa broda mu się trzęsła, wilgotną mgłą zachodziły mu oczy.

KONIEQ



177503